№ 3. Warszawa, dnia 17 (5) Stycznia 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Finał farsy.

„Pierwsza polska wyprawa do Afryki" wydała wreszcie owoc — owoc przedziwnej słodyczy. P. Rogoziński zbadał góry Kameruńskie i jeziora Liba? Nie, szanowny podróżnik nie zapuszczał się daleko w głąb Afryki, ale na wybrzeżu wykopał dołek — dla ks. Bismarka. Jak to już obwieścił p. Antonio Borges Silva, dyrektor szkoły z Fernando Po, w *Kuryerze warszawskim*, p. Rogoziński namówił kilku królików murzyńskich, ażeby umknęli przed siecią niemiecką i oddali się pod opiekę Anglii. Usłuchali go — dr. Nachtigall przybył za późno — i na nas spadła wielka chwała: p. Rogoziński i *Kuryer warszawski* byli przedstawieni przez ks. Bismarka przy obradach sejmowych jako przeciwnicy Niemiec. Ale uspokójcie się, zwolennicy pokoju i przyjaznych stosunków międzynarodowych, bo chociaż *Nordd. Allg. Zeitung* spaliła p. Rogozińskiego na swym stosie polakożerczym, jej potężny pan obszedł się ze swym groźnym przeciwnikiem bardzo obojętnie. Odczytał on tylko skargę firm afrykańsko-niemieckich na naszego podróżnika, nie zdradziwszy przytem żadnej obawy *). Wróg ten nie zaimponował mu wcale.

Pierwsza zatem wyprawa polska wydała owoc słodki: p. *Rogoziński* i *Kuryer warszawski* spadli z ust Bismarka w tok obrad niemieckiego parlamentu, nie zakłóciwszy przytem pokoju ogólnego i nie naraziwszy nas przed Europą. Czy to mało?

Pomówmy wszakże o tej sprawie bez ironii. Każdy z nas ma prawo pojechać do Afryki, osiąść w najbezpieczniejszem miejscu jej wybrzeża, robić ostrożne wycieczki wewnątrz kraju i werbować poddanych dla Anglii. Ale pomyślmy, jakąbyśmy dziś mieli minę, uległszy prośbom p. Rogozińskiego oraz jego protektorów i ofiarowawszy mu ze składek publicznych kilkadziesiąt, lub nawet kilkanaście tysięcy rubli? Jakich wyrzutów sumienia doznawałaby Kasa Mianowskiego, gdyby musiała patrzeć na to, jak p. Rogoziński za jej pieniądze rozszerza posiadłości Anglii? Wreszcie, jakiż ostry argument poczerpnęliby przeciw nam niemcy z faktu, że on został zaopatrzony w środki przez ogół polski? Nie mieliśmy dowodów, tylko wątpliwości i przewidywania; a jednakże o ile one były słuszne, pokazał rezultat. Odradczy nasz głos w tej sprawie z kilku stron powitano zarzutami, a ktoś się spodziewał, że tanim kosztem imię polskie zapisze się w rocznikach sławy geograficznej. Wspomniano nawet wyraźnie o wawrzynach „polskiego Kolumba." Nie chcemy tu rozkoszować się żadną radością z cudzej klęski, ale łącząc ten wypadek z wielu pokrewnymi, podkreślamy zbyt częsty u nas fakt nierozwagi, bezkrytycznych uniesień i lekkomyślnych oskarżeń o brak „wyższych pobudek" ludzi, którzy apelują do chłodnego rozsądku i oszczędzają siły społeczeństwa. Osiągnęlibyśmy niewątpliwy efekt komiczny, gdybyśmy chcieli być złośliwi i przytoczyli owe wywody obrończe, owe wielkie nadzieje, które przywiązywano do wyprawy p. Rogozińskiego. Miała na tem nauka skorzystać tyle, że aż wielu ogarniała patryotyczna duma. Przez kilka dni uważano tę wyprawę za jedyną sposobność „przyjęcia udziału w cywilizacyi wszechświata." I jakże się spełniły owe wielkie marzenia? Anglicy zyskali kilka plemion w Afryce. Tylko umarli śmiać się z takich zwycięztw nie mogą.

Występując w swoim czasie przeciw niedorzecznemu przedsięwzięciu, stawialiśmy za przykład czechów, dziś przytoczymy niemców. Ks. Bismark zażądał 150,000 marek na koszta badań wnętrza Afryki — i parlament nie przyznał mu odrazu tej sumy, lecz odesłał żądanie do komisyi budżetowej „dla bliższego rozpoznania." Zważmy: bogaty naród, posiadający kolonie, osady, wielkie firmy i ważne interesy w Afryce, waha się z udzieleniem 150,000 marek rządowi, a my, biedny ludek, mający tyle styczności z Afryką, że nosimy spinki z kości słoniowej, powinniśmy byli dać dziesiątki tysięcy rubli człowiekowi nieznanemu, bardzo młodemu i jak się okazało nieuzdolnionemu do poszukiwań naukowych? Takie szaleństwa mogą się dziać w operze, ale nigdy w trzeźwem życiu społeczeństwa.

Jedno z pism doniosło, że przedostatni członek wyprawy p. Janikowski wraca. Życzymy ostatniemu, ażeby zrobił to samo. Jeżeli — o czem nie chcemy wątpić — p. Rogoziński jest człowiekiem pełnym zapału i gotowości do służenia krajowi, lepiej mu służyć może na miejscu, niż werbunkiem murzynów dla Anglii. Na to szkoda młodości, energii i gorących uniesień; to jest rola dla płatnych agentów, których morze na brzegi afrykańskie dosyć wyrzuca. Farsa skończona — jej reżyser niech wraca do domu.

*) Szepnął tylko złośliwie: *cherchez le Polonais.*

FIKCYJNE PORĘCZENIE.

Wszyscy czytelnicy nasi, jeżeli nie doświadczyli osobiście przykrych skutków, to słyszeli nieraz zapewne o t. z. fikcyjnych poręczeniach. Głównym ich celem jest zmiana forum sądowego, t. j. przenoszenie spraw wbrew woli, a niekiedy i bez wiedzy pozwanego do instytucyj tego okręgu, w którym zamieszkuje powód, albo które dla pewnych względów odpowiadają widokom wierzyciela. Możliwość podobnych czynności opiera się na przepi-

sach kodeksu cywilnego, pozwalających ręczyć za kimś bez jego zgody a nawet wiadomości; za pobudkę zaś im służy najczęściej trudność i kosztowność przeprowadzenia sprawy w miejscowości odległej lub chęć sparaliżowania wybiegów dłużnika, usiłującego puścić sprawę zaocznie i tym sposobem, przedłużając proces, odroczyć termin wypłaty. Adwokaci, zwłaszcza warszawcy, dla których ta zmiana podsądności jest bardzo korzystną, na usprawiedliwienie jej przytaczają jeszcze, że operacya tego rodzaju wpływa pomyślnie na rozwój kredytu, ułatwiając egzekucyę drobnych kwot itd. Sofistyczny ten argument posiada jednak wartość tylko dla adwokackiej kieszeni i etyki, dworującej utyskiwaniom „uciśnionego“ kapitału. Owszem i materyalne prawo i procedura u nas uzbrajają wierzyciela aż nadto dostatecznymi środkami działania, otaczają kapitał tylu przywilejami, że raczej pożądanem byłoby usunięcie z tego arsenału wielu zbyt przypominających wieki średnie oręży, aniżeli fabrykowanie nowych bojowych pocisków.

Dawna procedura dawała w takich wypadkach stronie pozwanej możność wniesienia ekscepcyi (wyłączenia); zresztą i sam sąd, jeżeli w zmianie forum widział szkodę dla interesów pozwanego, mógł uznać się niekompetentnym. Nowa ustawa postępowania cywilnego utrudnia niezmiernie żądanie ekscepcyi, otaczając je wieloma formalnościami i nie pozwala sędziemu uznać niewłaściwości sądu w tym wypadku. Te wady procedury umożliwiły poręczenie fikcyjne. Inicyatorem tego wybiegu był smutnej pamięci sędzia pokoju Koni, który później roztrwonił powierzone mu depozyty. W tym wszakże wypadku, jak i w wielu innych, „zasługi“ pierwszego wynalazcy zostały zapomniane i opinia publiczna przypisała ojcowstwo fikcyjnych poręczeń adwokatowi, który pierwotny pomysł rozszerzył i wydoskonalił. Nawet z prokuratorskiej trybuny ochrzczono ową operacyę nazwą „*lex thèodoriana*“ od imienia mniemanego jej wynalazcy. Wierni zasadzie *suum cuique* prostujemy tę historyczną niedokładność.

Fikcyjne poręczenia z każdym rokiem wzrastały w liczbie i dały powód do licznych operacyj, bez zaprzeczenia występnych i karygodnych. Główny ich cel pozostał niewinnym fortelem, wobec wielu innych płynących z tego źródła wybiegów. Za pomocą fikcyjnych poręczycieli zaoczny wyrok przemieniał się na oczny, dokumenty wątpliwej wartości albo wprost sfałszowane nabierały wagi. Poręczycielstwo stało się korzystnem zajęciem, jedynym sposobem utrzymania wielu przemyślnych spekulantów. Jeden z nich, który solidarnie poręczył za kilka milionów rubli, stał się legendową osobistością, występuje jako bohater wielu anegdot, a poręczeniem mniemanych długów szacha perskiego i Gladstone'a pozyskał równą sławę, jak ów urzędnik cyrkułu, który na plenipotencyi poświadczył wiarogodność podpisu Lwa Antonowicza Gambetty, adwokata przysięgłego przy izbie sądowej paryskiej.

Wielu sędziów pokoju niechętnem okiem patrzyło na te wybiegi, inni wszakże, którzy nie mieli podobnych skrupułów a przytem wyrokowali szybko i dawali prędkie terminy, zasypani zostali tego rodzaju sprawami. Na jednem z ostatnich posiedzeń zjazdu z inicyatywy czasowo-przewodniczącego p. Jurkiewicza zaprojektowano uchwałę, ułatwiającą stronie pozwanej możność wniesienia ekscepcyi i zobowiązującą sędziów do stosowania z urzędu wyłączenia we wszystkich sprawach, w których wchodzi poręczyciel fikcyjny. Po wysłuchaniu wniosków prokuratora, zjazd postanowił, że sędziowie pokoju winni rozpatrywać jedynie sprawy wytoczone głównym dłużnikom, w innych zaś wypadkach nie mogą nawet podań przyjmować.

Niestety, nie jest to jednak rozwiązanie węzła kwestyi. Ograniczenie powództwa do osoby głównego dłużnika jest niesłusznem, bo przecie nie wszystkie poręczenia są fikcyjne. Dla usunięcia nadużyć posiadał zjazd inną drogę, na której mógł uzyskać dla swych słusznych poprawek i zmian właściwą sankcyę prawodawczą.

X.

WPŁYW MYŚLI.

I.

Tajemniczy stosunek myśli i materyi był najobfitszem może źródłem, u którego zasilało się wszelkiego rodzaju wstecznictwo i zabobon. To, co było słabą stroną nauki, stanowiło zawsze najmocniejszą podporę i pewien tryumf ignorantów: nie mają oni zazwyczaj pojęcia o tem, co jest wiadomem i zbadanem, lecz z wielką skwapliwością podnoszą i na swój sposób tłómaczą to, czego nauka przeniknąć jeszcze nie zdołała, znajdując w tem niejako zaspokojenie i wymówkę swej niewiadomości. Nauka wobec wierzeń zabobonnych zachowuje się najczęściej biernie; albo wnioskami swymi domyślnie im tylko przeczy, albo ich nie dotyka. Z drugiej jednak strony stanęła ona na zbyt pewnym gruncie, aby jakikolwiek grozić jej miał uszczerbek przy zapuszczaniu się w ciemną sferę przesądu; aby wahać się miała z przyznaniem nawet części prawdy temu, co uchodziło za przesąd. Owszem, niewiele jest zjawisk, dla których akta nauki mogłyby być stanowczo zamknięte, o których wszelkie twierdzenie przeciwne musi być bez dalszego śledztwa odrzucone; znacznie więcej takich, o których dokładniejszą wiedzę mieści w sobie przyszłość, aniżeli przeszłość, i przeciwnem by to było istocie nauki, gdyby zamykała oczy uparcie na wszystko, co nie podchodzi pod pojęcia i teorye, *w danej chwili* panujące. W zeszłym jeszcze wieku większość filozofów odrzucała autentyczność objawień, stygmatów itp. i przypisywała je oszustwu, jako przeczące prawom natury; tymczasem bliższe zbadanie okazało, że dla nich znaleść można miejsce w obrębie praw natury. Przyszła potem kolej na zjawiska hipnotyzmu, które zrazu wyłącznie przypisywano szarlatanery. Jeden i drugi przykład taki wywarł ten skutek na umysły uczonych, że mniej wierzyć zaczęli *swoim* prawom natury, że przekonali się, iż prawa te w pewnej części są tylko czasową formą naszego umysłu, zależną od ilości zdobytych doświadczeń, że z rozszerzeniem lub zmianą tych doświadczeń i formy owe umysłu czyli prawa mogą się zmienić.

Zawiązane przed paru laty w Londynie Towarzystwo badań psychologicznych (*Society for psychisal Researches*) wzięło sobie za cel właśnie badanie takich zjawisk, które, prócz hipnotyzmu, dotąd wyłącznie prawie były przedmiotem ciemnych przesądów, zabobonu i szarlatanery. Skład Towarzystwa daje rękojmię zarówno dobrej

---

W STARYM DOMU.

— Pójdziemy do notaryusza, pójdziemy wszędzie, gdzie papeczko zechce — zawołał Julek z pobłażliwą pieszczotą, tylko proszę być zdrowym i nie kaszlać. Kaszlać nie wolno. Mój Boże, myślę sobie nieraz, wracając z biura: żeby to do wszystkiego co mamy w chacie, jeszcze zdrowie dodać. Siedzielibyśmy jak u Boga za piecem. Czasem w gierełaszyka we troje wieczorkiem, czasem w małyaszyka z mameczką, czy z papeczkiem; pogralibyśmy, pośmieli i — spać. Nazajutrz znowu każdy do swojej roboty. Raj byłby, nie prawdaż?

Mówiąc, spoglądał kolejno na ojca, na matkę, a z oczu patrzyło mu wyraźnie: no, i czegoż jeszcze chcecie odemnie?

Idyota nie wychodził dziś ze swego pokoju; nakrycie jego u stołu wyglądało jak podczas „dziadów“ zostawiane puste miejsce „dla duszyczek.“

— Ażeby to jeszcze nasz Jasio wyzdrowiał — dodał Julek, zniżając głos.

Pokiwał głową smutnie jak na pogrzebie. O Władku nie wspomniał; od lat dwóch nie mówiono o nim wcale; dzisiejszy list, niby iskra elektryczna, potrząsnął na chwilę ołowianą atmosferę rodzinnego gniazda: wszyscy przymknęli oczy na to niespodziewane zjawisko.

Rodzice milczeli; Julek mówił za nich i za siebie; a jak tylko zdało mu się, że ojciec poruszył ustami, milkł w połowie wyrazu, z wyciągniętą ku ojcu szyją, patrzał mu w twarz uważnie; ten raz tylko spojrzał na zegarek; przełknął ostatniego kalafiora, wstał i wyszedł z pokoju. Za chwilę Julek stał już w przedpokoju w paltocie, z kapeluszem gotów do drogi. Pójdzie z papeczkiem do notaryusza, czy na przechadzkę, jemu wszystko jedno, byleby tylko papeczce mógł dogodzić.

Teraz już Turska pewną była, że cały majątek dostanie się „lisowi.“ Kto wie, może i ona sama kiedyś od niego zależeć będzie. Siedziała w fotelu naprzeciw bramy, osowiała jakaś, zdrętwiała. Dwa cudze psy wbiegły na dziedziniec jeden za drugim: pierwszy zaczął wodę lizać u pompy. Ona patrzała na to jak martwa; w głowie jej wciąż się snuło; co oni tam robią u notaryusza?... Czy stary ostatecznie skrzywdzi tamtego? To znowu: czy Julek, w razie śmierci ojca, nie zechce skrzywdzić jej z kolei? Oj, temu lisowi nie dowierzała jakoś... Przypominała sobie jednocześnie, czy słyszała kiedy, żeby syn matkę z domu wyprawił, albo głodem morzył?... Nie, tego jeszcze nie słyszała. Uspokojona trochę zgarnęła kawałeczki cukru w koło spodka i zaczęła pić kawę. Nie zdążyła jeszcze ujrzeć chińczyka, „co na dnie filiżanki wachlował się słomianym wachlarzem, a już w duszy uczuła znaczną ulgę.

Może i dobrze się stało, że Julek otrzyma wszystko — rozmyślała — oszczędny, bez nałogów, istny ojciec. Nie zmarnuje krwawego dorobku rodziców. Stary ma rozum, że się tak zabezpiecza...

Uspokoiła się zupełnie. Oho, niechby teraz cudzy pies przyszedł lizać wodę u pompy.

Minęło kilka tygodni; w domu nie zaszła żadna zmiana: chociaż stróżowi przykazano, żeby we wszelkich sprawach, odnoszących się do mieszkań i lokatorów, zwracał się do młodego pana. Kamienica odmłodniała trochę; od frontu pomalowano ją na żółto, bramę zaś — na szaro; mówiono nawet, że będą oświetlać schody — ale temu nikt z lokatorów nie wierzył. Turski zamilkł ostatecznie, przestał wychodzić, kaszlał strasznie, pomimo to pudełeczko z cukierkami stało na komodzie nietknięte. Od pamiętnego dnia, kiedy to przesiedzieli u notaryusza kilka godzin, do Julka nie przemówił ani słowa. Nawet wówczas, kiedy ten, z właściwą sobie gadatliwością, opowiadał, jak z czasem, jeśli mameczka i papeczko pozwolą, on tu wszystko poprzerabia, ze stajni, z chlewów nawet mieszkania porobi, ogród wytnie, plac oczyści i nowy dom zbuduje. Ojciec patrzał w okno szklannym wzrokiem i ani jednym ruchem nie okazał swego przekonania. Julek znosił spokojnie tę widoczną obojętność; na obiad przychodził akuratnie, ma-

wiary, jak i metody dostatecznie naukowej; znajdujemy w niem nazwiska profesorów z Cambridge, Dublina i Oxfordu, członków Towarzystwa królewskiego i parlamentu, między innymi H. Sidgwick, znany autor dzieł z zakresu logiki i etyki, jako prezydujący, Balfour-Stewart fizyk, Crookes chemik, Wallace naturalista, Gurney psycholog, lord Rayleigh prezes Tow. Brytańskiego, arcybiskup Carlislo i in. Towarzystwo podzieliło się na sześć sekcyj, z których każda specyalne podjęła zadanie.

Pierwsza sekcya bada naturę i granice, w jakich umysł działać może na umysł, niezależnie od jakichkolwiek znanych nam środków postrzegania zmysłowego, czyli t. z. przenoszenie się myśli, albo czytanie w myśli innych.

Druga zajmuje się hipnotyzmem, jasnowidzeniem i stanami analogicznymi.

Trzecia zrobić ma krytyczny przegląd dawnych badań Reichenbacha nad t. z. sensytywami, t. j. wyjątkowo czułemi organizacyami.

Czwarta sekcya rozpatruje podania i świadectwa, dotyczące objawień, widziadeł itp.

Piąta rozważa zjawiska spirytyzmu, ich przyczyny i prawa.

Szósta wreszcie, nazwana literacką, zbiera i porządkuje materyały historyczne, będące w związku z powyższymi przedmiotami.

Dotąd najdalej prace swoje posunęła sekcya hipnotyczna i pierwsza, zajmująca się zjawiskami oddziaływania myśli na myśl; tym ostatnim znaczną także liczbę doświadczeń poświęcili w Paryżu dr. Ch. Richet, Varigny, Gley, Héricourt, i z tymi to właśnie objawami zamierzam tu czytelników zaznajomić. Opuszczając szczegóły bardziej technicznej natury, podam tylko ogólne rezultaty.

Zjawiska udzielania się myśli, odgadywania lub czytania cudzych, podzielić można na dwie główne grupy:

1-o. Takie, w których odgadnięciu, przeniesieniu się myśli, pośredniczy zawsze zjawisko, działające na zmysły w sposób świadomy lub nieświadomy, jako dotknięcie, spojrzenia, gesty; osobnik odgadujący nieświadomie znaki te postrzega i odpowiednio je tłomaczy, albo też, w razie samego tylko dotykania, w pewnych okolicznościach ulegać może wpływowi jakiegoś nieznanego nam czynnika, zdolnego tylko bezpośrednio z ciała na ciało oddziaływać. Tutaj należą znane doświadczenia Cumberlanda, Cappera i wielu innych, oparte, zdaje się, wyłącznie na odczuwaniu drobnych ruchów, a także i następujące, wykonane w Towarzystwie Londyńskiem, w których wpływ ruchów jest znacznie mniej prawdopodobny. Między innemi zrobiono ośm doświadczeń nad odgadywaniem pomyślanych barw lub figur geometrycznych. Pacyent ma oczy szczelnie zawiązane; eksperymentator dotyka jego ręki i każe mu wymienić kolor, sam zaś patrzy na nazwę tego koloru, napisaną z boku przez trzecią osobę; albo też przygląda się formie geometrycznej, a trzymany przezeń pacyent, mając oczy zawiązane, formę tę drugą ręką odrysowuje. W obu przypadkach pacyent odrazu albo po paru próbach trafia na rzeczywisty kolor lub formę. Oczywiście, zbyt mała tu liczba doświadczeń i okoliczności zbyt niejasne, aby można coś wnioskować.

2-o. Myśl jednego osobnika oddziaływa na umysł drugiego, obecnego, bez jakiegokolwiek pośrednictwa materyalnego (zetknięcia) i w takich okolicznościach, iż nie można przypuścić choćby nieświadomego postrzegania i tłómaczenia jakichkolwiek znaków, mogących posłużyć do przejęcia cudzej myśli: np. człowiek odgaduje pomyślany przez innych obraz, kartę, liczbę, wyraz—w okolicznościach, które zdają się zupełnie niemożliwem czynić postrzeganie zapomocą znanych zmysłów.

Gdy idzie o stwierdzenie rzeczywistości zjawisk tego rodzaju, łatwo widzieć, że pojedyncze fakty dodatnie lub ujemne rostrzygać nie mogą. Zjawisko zależnem być może od bardzo wielu warunków, chybienie jednego z nich uniemożliwia cały skutek, a mimo to zjawisko nie przestaje być rzeczywistem. Że chinina w pewnych razach nie skutkuje, nie przeczy to jej działaniu wogóle. I drugostronnie, wystąpienie zjawiska nie służy jeszcze za dowód jego rzeczywistości, może być bowiem tylko dziełem przypadku: zdarzyć się może przypadkowo, że np. karta obrana przezemnie będzie tą samą, którą wymieni zgadujący. Otóż w takich razach idzie o wyłączenie przypadku a wyłączenie takie uskutecznia się zapomocą rachunku losów. Z rachunku tego wypada, że gdyby działał sam tylko przypadek, to w danej liczbie wypadków karta powinna być odgadnięta X. razy; tymczasem doświadczenie stale wykazuje, że jest ona odgadywaną jakąś większą ilość razy np. X+Y. Otóż ta przewyżka Y, o ile się stale i w wielkiej liczbie doświadczeń okazuje, pozwala przypuścić jakiś związek *przyczynowy* i zarazem wyraża sobą prawdopodobieństwo istnienia takiego związku. Taki właśnie rachunek do badań swych wprowadzili członkowie Towarz. Londyńskiego i eksperymentatorzy francuscy.

Pierwsza grupa doświadczeń wykonaną została bez jakichkolwiek przyrządów. Szło o zgadywanie pomyślanej karty, rysunku itp. Bierze się talię kart, kartę wyciągniętą po każdem doświadczeniu wkłada się napowrót i tasuje. A. obiera jedną, przygląda się jej uważnie, starając się w tej chwili o niczem więcej nie myśleć, powstrzymuje się od wszelkiego znaku, któryby mógł na domysł naprowadzić; gdy B. kartę wymieni, A. nie pokazuje mu obranej przez siebie, lecz mówi tylko: *dobrze* lub *źle*. B. stara się nie myśleć o niczem, i w chwili gdy A. w kartę się wpatruje, uprzytomnia sobie cztery wartości karty (pique, trèfle, carreau, coeur) i uważa, czy jedna z nich nie uderzy go szczególniej: idzie właśnie o odgadnięcie jednej z tych czterech wartości. Nie należy wogóle z jedną i tą samą osobą bez przerwy robić doświadczeń więcej nad 100, gdyż występuje pewne zmęczenie i rezultat wyraźnie się pogarsza wskutek tego.

Dr. Richet wykonał 1132 tego rodzaju doświadczeń nad różnemi osobami. H. F. na 52 razy odgadł kartę 15 razy, gdy wedle rachunku prawdopodobieństwa wypadało tylko 13; G. F. na 31 razy odgadł 13, zamiast 8; tenże na 110 odgadł 37, zamiast 26, czyli z przewyżką 11, itd. Ogółem na 1132 razy karta była odgadniona 315, gdy z rachunku losów wypadało tylko 280. Próby, powtórzone na innych osobach, w połączeniu z pierwszemi dały na ogół wypadków 1833 rezultat pomyślny rzeczywisty: 510, prawdopodobny był: 458. Nadwyżka ta 52, t. j. prawie $^1/_{10}$, wyraża prawdopodobieństwo związku przyczynowego między myślą jednego osobnika a myślą drugiego, i przypisaną być może przenoszeniu się myśli. Znaczy to, że na 10 wypadków, w których kartę odgadłem,

---

meczkę i papeczkę na dzień dobry w ręce całował, wieczorami zaś, siadywał przy nich, albo u siebie w otwartem oknie; rozglądał się po dziedzińcu, gwizdał, czasami, zerwawszy liść winny, wciągał go do ust i klaskał jak z bata, przedziurawiony rzucał za okno i zrywał drugi. Starzy lokatorowie, widząc go przy tak niewinnej rozrywce, twierdzili, że będzie kiedyś bardzo porządnym człowiekiem. Dymisyonowany pułkownik, którego dwaj dorośli synowie nigdy przed północą do domu nie wracali, ile razy, rozparty w oknie, ujrzał Julka klaszczącego w liście, albo gwiżdżącego niby ptaszek polny — wzdychał biedaczysko.

— Ot, czasem i bogatym skąpcom Bóg porządne dzieci daje — mruczał zasępiony.

Młodzi nazywali go „parszywym sknerą,“ albo „rudym orangutanem;“ służące przedrzeźniały go za plecami, gdy przechodził przez dziedziniec; a jeśli przemówił do której żartobliwie, odchodziły, wzruszając ramionami. On zaś, śmiał się ze wszystkich cichym, jemu tylko właściwym śmiechem.

Razu jednego spóźnił się na obiad; wpadł do jadalni wówczas, gdy wstawano od stołu, spotniały, zadyszany od progu już chciał coś mówić, ale tchu mu brakło; podbiegł do stołu, zaczerwieniony, jąkając się od wzruszenia, zawołał:

— Papeczko, mameczko, ot, interes wyciąłem — ot szczęście — dalibóg płakać, śmiać się chcę z radości! Oh!

Śmiał się uszczęśliwiony, podczas gdy rodzice patrzyli na niego w największem zdziwieniu.

— Głupi żyd za te... nasze cztery nory... za ogródek nasz daje sześćset rubli do św. Michała! Cha, cha, cha! Restauracyi żadnej nie potrzebuje — ot tak, brudne, obdarte weźmie! Słyszane to rzeczy! Knajpę jakąś tu założyć ma, w ogródku piwo sprzedawać będzie. Podpisałem już kontrakt.

Śmiał się coraz serdeczniej, nie zważając nawet, że dotąd rodzice nie podzielają jego radości. Ojciec stał wyprostowany, patrzył mu w oczy uporczywie.

— Papeczko nie wierzy? Myśli może, że ja zwaryował? że głupstwa plotę? Dalibóg prawda, wszystko prawda co do słowa. Żyd wie, że tu jest cztery duże pokoje, widział ogródek. Sztuki tu jakieś pokazywać będzie, arfiarki, śpiewaczki ma — a i inne tam jakieś facecye wyprawiać myśli. A bierz go kaduk! Niech sobie samych dyabłów sprowadza! Połowę arendy już dał, resztę odda za trzy tygodnie, albo — fora ze dwora! Ot, interes zrobiłem! Cha, cha, cha!

Zamilkł nagle. Pomimo niezmiernej radości, jaśniejącej w całej fizyognomii, spostrzegł, że twarz ojca wygląda dziwnie jakoś... Zbolało oczy krwią zaszły, usta drgały, chciał mówić, ale głos zagrzązł w piersiach; oczy czerwieniały się coraz więcej, chwilkę jeszcze, a znów krwawa łza spłynęłaby po zżółkłym policzku.

— Papeczko może myśli... że ja... żartu... odstąpił kilka kroków: zdrętwiały spokój ojca przeraził go trochę.

— Knaj... pa... tu!... w ogrodzie... moim... arfiarki!.. — wyszeptał stary, pokręcił zwolna głową. Nigdy!

Julek odskoczył, oczy otworzył szeroko, wyciągnął szyję, jak pies, kiedy szukać zamierza.

— Sześćset rubli! — zawołał — ten głupiec dał mi już połowę! Mam tu w kieszeni! Papeczko chyba nie wierzy? Mam, dalibóg mam!

— Nigdy! — wyszeptał ojciec powtórnie.

Julek podskoczył jak ukąszony.

— Eh, co tam gadać! — zawołał—skończyłem i basta! Nigdy! co za nigdy! Dziś już beczki z piwem zaczną zwozić do piwnicy. Za trzy dni powinniśmy opróżnić mieszkanie. Za trzy dni, nie później, tak napisano w kontrakcie.

Gadał coraz spieszniej, na ojca już nie patrzył, biegał po pokoju, zacierając ręce. A kiedy stary osiadł w fotelu, zatrzymał się przed nim, ręce zasunął w kieszenie i zapytał:

— Dlaczego papeczko nie zgadza się? No, dlaczego? Cóż, mało pieniędzy dają? Sześćset rubli za te ciemne dziury! Alež jabym za nie trzech groszy nie dał. Za połowę tych pieniędzy weźmiemy sobie szykowne

9 jest dziełem przypadku, a 1 jest skutkiem działania myśli. Wpływ ten przyrównać można do rulety, w której jedna z przegródek byłaby cokolwiek szerszą od innych. Co tydzień obliczają się numery, które wychodziły i oto okazuje się, że jeden z nich, np. 3, wyszedł 2 lub 3 razy częściej od innych: jeśli fakt ten powtórzy się stale w ciągu dwóch lub więcej miesięcy, przypuścić tu należy coś więcej prócz przypadku, mianowicie że przegródka numeru 3 jest szerszą od innych, choćby nawet oko lub przybliżone mierzenie nierówności tej nie wykazały. Otóż w doświadczeniach powyższych zachodzi coś podobnego: zamiast prawdopodobnej liczby rezultatów pomyślnych, znajdujemy stale liczbę wyższą; jest więc jakiś wpływ przyczynowy, który przewyżkę tę powoduje. „Wszakże— zastrzega to sam Richet—nie należy zbyt pospiesznie wnioskować; jakkolwiek zboczenie jest wyraźne, zdarza się jednak, że i sam przypadek daje w rzeczywistości rezultaty o wiele przewyższające rezultat, wynikły z rachunku.“ Wniosek swój opiera on na innego rodzaju doświadczeniach, które niżej przytoczę.

Dr. Gley, eksperymentując podobnie z fotografiami, otrzymał na 9 wypadków, zamiast 1, pomyślnych rezultatów 5. Varigny'emu wypadło na 384 doświadczeń w różnych czasach robionych 80 zamiast 64 t. j. przewyżka 16.

Do wszystkich doświadczeń powyższych używano osobników zupełnie normalnych, umiarkowanie wrażliwych; lecz rezultaty bardziej jeszcze przemawiają na korzyść wpływu myśli, jeśli weźmiemy osobników wyjątkowo wrażliwych, hipnotyzowanych przedtem, histerycznych, nerwowych. Na takich właśnie doświadczano w Towarz. Lond. i otrzymano wyniki następujące. Na 14 doświadczeń zamiast liczby prawdopodobnej 0,25, karta była nazwana prawdziwie 9 razy, w tej liczbie zaś 5 razy z rzędu; w drugiej seryi na 31—wypadków pomyślnych 17, przyczem 8 z rzędu; otóż z rachunku losów, ponieważ oznaczaną być miała karta dokładnie (np. dwójka trefle itp.), prawdopodobieństwo takiego rezultatu było nadzwyczajnie małe, mianowicie $\frac{1}{52^8} = \frac{1}{7,164,938,643,456}$, co wychodzi na to, że gdy w urnie znajduje się 7,164,938,643,456 gałek białych i jedna czarna, ktoś ciągnąc, wyjmuje właśnie czarną. Stewart i Barret eksperymentując na trzech siostrach Creery 118 razy, zamiast liczby prawdopodobnej 2.2, otrzymali 45, czyli, że siostry Creery odgadły kartę 23 razy częściej, niż wskazywał rachunek losów.

(D. c. n.).

J. W. Dawid.

SOCYOLOGIA A. MICKIEWICZA.

III.

W socyologii Mickiewicza zajmuje—jak wspomniałem — zasada miłości bliźniego gorujące stanowisko. Religia tej miłości, zaczerpnięta z ksiąg Nowego testamentu, ostro przeciwstawiona egoizmowi i bałwochwalstwu „interesu,“ uważa zaparcie się i poświęcenie za naczelne prawo człowieka. Wszyscy—powiada Mickiewicz—jesteśmy bracią rodzoną, dziećmi jednego Boga, i ten tylko większy między nami, kto ludziom służy i kto poświęca siebie dla dobra drugich, a im kto lepszy, tem więcej poświęcić powinien. Chrystus, który, będąc najlepszym, miał za nas krew przelać, w męce najboleśniejszej uczy, że nie ma być szanowaną na ziemi ani mądrość ludzka, ani bogactwo, ani korona, ale jedna tylko jest szanowana ofiara dla dobra ludzi. I kto poświęca siebie dla drugich, znajdzie mądrość, bogactwo, koronę na ziemi w niebie i na każdem miejscu. A kto poświęca drugich dla siebie, aby miał mądrość i urząd i bogactwo — egoista — znajdzie głupstwo i nędzę i potępienie na ziemi, w piekle i na każdem miejscu... Starsi nie są ci, którzy najspokojniej w starszeństwie zasypiają i z urzędu swego bogacą się, ale ci, którzy najwięcej troszczą się i najmniej śpią, a prześladowani są i wyśmiani, ci, którzy ziemie wielkie i bogactwa rozrzucili a wpadłszy w moc nieprzyjaciela, męczeni są. Nie są ci mądrzy, którzy wzbogacili się, sprzedając naukę swą, ale ci, którzy opowiadając słowo wolności, cierpieli więzienie i bicia; a ci, którzy śmiercią zapieczętują naukę swą, święci będą.

Wiarę tę w miłość i zaparcie siebie utwierdza poeta przykładami z historyi, na które patrzy także przez szkła altruizmu. Cesarstwo rzymskie—powiada—było wielkie jak świat, a imperator rzymski był potężny, jak wszyscy królowie razem; a oto Chrystus posłał przeciwko niemu dwunastu tylko ludzi, prostaków, ale ponieważ ludzie ci mieli duch święty, duch poświęcenia się, więc zawojowali imperatora. Wojny krzyżowe podjęli chrześcianie nie dla sławy, ani dla zdobycia ziem, ani dla bogactw, ale dla oswobodzenia ziemi świętej. Za to więc, że poświęcili się dla dobra drugich, nagrodził ich Bóg sławą ziemian, bogactwami i mądrością. Europa oświecała się i urządzała się i bogaciła. Nastały potem wieki zepsucia i upadku. Jeden tylko znalazł się prawdziwy chrześcianin — Krysztof Kolumb, ostatni rycerz krzyżowy w Europie, który przedsięwziął wyprawę dla imienia bożego, a nie dla siebie. Więc Bóg mu pobłogosławił i człowiek ów odkrył Amerykę, ziemię wolności, ziemię świętą. Z współczesnych uważa Mickiewicz generała Lafayette, szlachetnego, choć niepraktycznego obrońcę naszej emigracyi, za ostatniego z tych rycerzy, w których jest jeszcze duch poświęcenia się, reszta ducha chrześciańskiego.

Już przed Chrystusem spotyka poeta przykłady poświęcenia w czynach Scewoli, Kurcyusza, Decyusza, lecz cnota ta pogańska jest mniej doskonałą, niżeli chrześciańska, która każe poświęcać się nietylko za ojczyznę, ale za ludzkość całą. Krew przelana za ojczyznę jest świętą. W przedsięwzięciach śmiałych, wymierzonych przeciwko nieprzyjaciołom, można przy braku talentów z całą dobrą chęcią przegrać, zginąć; ale człowiek pełen ofiary może pomylić się tylko względem siebie, może siebie zgubić, względem ojczyzny jest nieomylny. Dolewa on na szalę przeznaczenia krew, której jeszcze braknie, aby ją przeważyć.

Polska poświęciła się dla zbawienia ludzkości... Mickiewicz był w owym czasie bezwzględnym katolikiem; nakazuje więc w społeczeństwie przedewszystkiem bronić „religii narodowej.“ Na podwalinach religii opiera cały gmach społeczeństwa.

W rok później grono katolickich autorów zawiązało z Mickiewiczem, który nosił się był z myślą zostania księdzem, nowy zakon pod nazwą *Braci zjednoczonych* dla podniesienia i utrzymywania ducha katolickiego. Oto wyznanie wiary jego i jego

---

mieszkanie na całe pół roku. Przyzwyczajenie! tfu do licha! Papeczko zdziecinniał już trochę pod starość, myśli, że w innem mieszkaniu żyć nie potrafi.

— Nigdy! — wyszeptał raz jeszcze staruszek.

— Eh, to już prawdziwa waryacya! — zawołał Julek w najwyższem zniecierpliwieniu. A ja mówię, że za trzy dni już tu nie będziemy! Nie będziemy — i basta!

Schwycił kapelusz i wybiegł, zapowiedziawszy, że idzie szukać mieszkania, że za trzy dni muszą stąd ustąpić! Milczenie ojca rozdrażniło go ostatecznie. O mało nie powtórzył raz jeszcze, że jest co najmniej dziwakiem, ba, waryatem nawet! Niechce zrozumieć interesu, a tylko jak chiński manekin głową kręci, szepleniąc idyotycznie: nigdy! Ktoby się tego spodziewał! taki zdaje się trzeźwy i rozsądny człowiek! Był w zupełności przekonanym, że ojciec co najmniej... zdziecinniał.

Stary tymczasem powstał z krzesła i suwając nogami powlókł się do swego pokoju. Ponuro tu było, ciemno prawie od starych ścian, od zielonych gałązek zasłaniających okno; ale staremu jak najmniej teraz chodziło o światło. Usiadł w najciemniejszym kącie na sofie, głowę oparł o ścianę, przymknął oczy. W takiej pozycyi znalazła go żona, gdy w kilka godzin później weszła z lampą do jego pokoju. Z początku sądziła, że wyszedł, gdyż ciemno tu było i cicho, lekki wiatr tylko poruszał papiery złożone na otwartem oknie. Zbliżyła się do sofy. Stary siedział z głową odrzuconą na poręcz, z rękami na kolanach, oddychał cichutko.

— Stasiu! — szepnęła przerażona skostniałym wyrazem jego twarzy — Stasiu, czy śpisz?

Wyprostował się, oczy otworzył szeroko, straszne czerwone oczy, w których myśl już zgasła bez śladu.

— A co? pora już? — krzyknął, i zadrżał przerażony własnym głosem! Idę już, natychmiast... tak! trzy... dni... tylko! Poczekajcie... minutę jeszcze... jedną minutę... Nie, nie trzeba... chodźmy! Zamilkł, wyprostowany, sztywny, zdawał się słuchać jakiegoś dalekiego echa.

— Kto... on? — szepnął. Kto... ten... Kto... kto... — powtarzał coraz ciszej; głos zamierał w piersiach. Zamikł. Poruszał jeszcze ustami, ale już słów zrozumieć nie można było.

— Co to jest... Co tobie? — krzyknęła żona, trzęsąc go silnie za ramię.

Milczał; głowa opadła ... piersi.

Na krzyk żony wbiegła służąca, stróż, sąsiedzi; nim przybył doktór wszystko już było skończone. Paraliż mózgu, czy atak sercowy — mała różnica. Stary nie żył!

Jedni mówili, że zmarł ze starości, inni, że go zawiało, inni znowu, że zjadł coś niestrawnego! Wszyscy żałowali go trochę. Przez całe życie szedł tak wązką ścieżynką, że zawadzać nie mógł nikomu. Żył długo, a starzy ludzie, jak stare graty, mają właściwą sobie cechę, oko dziwnie jakoś przywyka do nich. Zniknąą gdzieś, pustki nie zostawią, a jednak tęskno trochę, jakby wraz z nimi i część życia naszego uswała się w niezgłębioną przepaść przeszłości.

W kilka dni potem w czterech oknach osłoniętych dzikiem winem, jasno było od lamp zapalonych u sufitu; w pokojach widać długie stoły zastawione jadłem i butelkami; rozszerzała się woń śledzi, piwa, wódki, smażonej tłustości; pod oknami resztki ryb i ogórków. W mieszkaniu ciszą; całe życie skupiło się w ogródku, gdzie na improwizowanej naprędce estradzie z białych desek, śpiewały arfiarki i wykręcała się jakaś króciutka spódniczka. Gawiedzi zebrało się sporo, był to bowiem jedyny ogródek tego rodzaju w tej stronie miasta. Julek siedział przy stoliku naprzeciw estrady; miał tu wstęp wolny w każdej porze dnia i nocy; usłużny gospodarz nawet piwo ofiarował mu gratis! Tylko arfiarki i szansonistka stanowiły oddzielny wydatek.

Julek spoważniał, jakby urósł i zmężniał, nie uśmiechał się i nie szeplenił prawie; czasem tylko, gdy dobrze cięty wychodził w nocy z ogródka, bełkotał zwolna, jakby przedrzeźniając dawniejszą swoją mowę:

— Hm, żeby też papeczko to widział...

Ostoja.

druhów. „W imię święte Pana naszego Jezusa Chrystusa, który widzi szczerość myśli naszych, prosząc jego błogosławieństwa i opieki w pokorze serca i po umyślnem ku temu odprawieniu świętej spowiedzi, łączymy się w związek. Modlić się codziennie za siebie, Ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół, przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać—jak najmocniej przedsiębierzemy i postanawiamy.“

Jako gorliwy katolik, był przekonany, że tylko pod słońcem religii może się rozwinąć drzewo społeczeństwa, ogrzane promieniami miłości ojczyzny. Uczuciom religijnym i patryotycznym przypisywał jakąś nadludzką moc i potęgę.

„Płynęły po morzu okręty wielkie, wojenne i statek jeden mały, rybacki. A był czas burzliwy jesienny; w tym czasie im okręt większy, tem bezpieczniejszy, a im mniejszy, tem niebezpieczniejszy. Rzekli więc ludzie z brzegu: błogosławieni żeglarze okrętów wielkich, biada żeglarzom w statku rybackim czasu jesiennego. Ale nie widzieli ludzie z brzega, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali, i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską magnesową. A wszakże okręty zdawały się na pozór równie potężne jak pierwej. Ale nie mogąc widzieć gwiazdy na niebie i nie mając iglicy magnesowej, zbłądziły i potonęły okręty wielkie. A *statek rybacki patrząc na niebo i na iglicę* nie zbłądził i doszedł brzegu; a chociaż rozbił się przy brzegu, uratowali się ludzie i uratowali narzędzia swe, iglicę swą, a okręt znowu odbudują. I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale *bez gwiazdy i kompasu niczem są.*“ (*Księgi Pielgrzymstwa*, rozdz. I).

Tą gwiazdą przewodnią społeczeństwa jest *wiara niebieska*—a iglicą magnesową *miłość ojczyzny*. Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymski, bez wiary zaś i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się, a kto z nich ocaleje, nie odbudujo okrętu.

Hasłem socyologii Mickiewicza, opartej na gruncie patryotyczno-religijnym, było *braterstwo ludów wolnych*. Za najpierwsze, najgłówniejsze dążenie narodów uważał życzenie porozumienia się, połączenia i „zmasowania“ interesów dla wysłuchania woli powszechnej ludów. Oto jego rozumowanie: Już za rewolucyi francuskiej odżyła w sercach pamięć braterstwa narodów. W wojnach Napoleona ciemne przeczucie jedności europejskiej coraz wyraźniej tłómaczyło się łączeniem partyj popularnych z francuzami. Napoleon rozbijał i łamał dawne rządy, które jak szkła cieplarniane niegdyś pomagały wzrostowi narodów a teraz cisną je i dławią. Napoleon czuł, że sprawa wolności jest europejską. Od upadku jego zaczyna się nowa epoka polityczna powszechnego braterstwa, rozszerza się teraz niezmiernie i scena polityczna i widoki ludów. Powstanie greckie, rewolucya neapolitańska i hiszpańska budzi wszędzie żywe nadzieje.

Kiedy po rewolucyi lipcowej—powiada dalej poeta—wybuchły w różnych stronach zamieszania, lud wszędzie rzucił się naprzód na domy celne, na urzędy pograniczne, na biura paszportów. Nie pochodziła ta napaść, jak myślą niektórzy, z zemsty za zdzierstwo celników, bo celnicy najwięcej naprzykrzają się kupcom i podróżującym, którzy nie wiele w rewolucyach działają; pochodziła ona z przeczucia większej i rozleglejszej reformy.

Zasady socyalizmu Mickiewiczowskiego opierają się na zasadach chrześciaństwa. Wychodząc z tego stanowiska, uważa on wszystkie ludy za dzieci jednej rodziny, potępia wszystkie wojny o granice, o handle, o porty itp. jako bezbożne, i domaga się powszechnej federacyi europejskiej na podstawie miłości i swobody. Anglia, Francya, Niemcy itd. mają stanowić jeden naród. „Kto mówi o interesach jednego narodu, jest nieprzyjacielem wolności.“

Wszystko co do osobnika należy—ojczyzną jest, wszystko, co ojczyzna posiada, wolnych ludów jest. Społeczeństwo europejskie—powiada poeta—trzyma się wprost przeciwnej zasady. „Anglicy powiadają: odbieramy francuzom morze, a francuzi mówią: odbierzmy niemcom ziemię, a niemcy mówią: odbierzmy francuzom kraje nadreńskie. Ale oni głupi są, albowiem porty i morza i lądy są dziedzictwem wspólnem ludów wolnych.“

„Wszedł do domu opustoszałego człowiek dziki z żoną i dziećmi. A widząc okna rzekł: przez to okno będzie patrzeć żona moja, a przez drugie ja sam, a przez trzecie mój syn. Patrzyli więc, a kiedy odchodzili od okien, zasłaniali je obyczajem ludzi dzikich, aby światło do nich należące innym nie dostało się. A reszta rodziny okien nie miała. I rzekł człowiek dziki: przy tym piecu ja sam tylko grzać się będę, bo jeden tylko piec był. A inni niech sobie zrobią każdy po jednym piecu. I rzekł potem: wybijmy w domu drzwi dla każdego oddzielne; *przetoż popsuli dom i bili się często o światło, ciepło i granice izby.*“ (*Księgi piel.* XVIII). Ta dzika rodzina—to społeczeństwo europejskie, które zazdrości sobie handlu książek i handlu wina i bawełny, nie wiedząc, że nauka i dostatek do jednego domu należą—do wolnych ludów.

Źródłem rozumowań i nadziei Mickiewicza była wiara, iż żyjemy w czasie wielkich odmian porządku europejskiego. Religia osłabiona, wypływające z niej instytucye duchowieństwa, arystokracyi, uprzywilejowanego trzeciego stanu straciły dawny charakter—słowem zasady, na których opierała się budowa średnich wieków, są podkopane. Stoi gmach jeszcze, ale zarysowały się mury jego, za powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana niewidoma gabinetom, jak potop złym ludziom, skazanym na śmierć, objawia się w różnych symptomatach—przepowiadają tę burzę filozofowie, poeci, księża, wieśniacy, na różnych punktach ziemi, w różnych partyach i religiach. Dość ucho przyłożyć do ziemi, tam w tawernach niemieckich, w foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie. Kiedy nastąpi ta burza, za rok, czy za lat sto, to rzecz niewiadoma i obojętna, dość że nastąpić musi.

Narody, mordując się wzajemnie, niszczyły pojęcia moralne sprawiedliwości i miłości, uważając siebie za nieprzyjaciół, działały zewnątrz gwałtem a wewnątrz traciły wolność i podobne stały się do owego zwierza, który chcąc pomścić się nad nieprzyjacielem, dał się osiodłać człowiekowi. Tylko ludzie z duszą żydowską i cygańską mówią, że tam ojczyzna, gdzie dobrze, nie tam ojczyzna, gdzie źle, bo gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest—walka o ojczyznę—za wolność zaś bić się wszyscy powinni, słowem i mieczem.

Idea *wolności* przenika cały społeczny organizm w teoryi Mickiewicza, ona koroną społeczeństwa, najwyższym celem jego dążeń. Porzućcie—woła on do narodów—wszystkie interesa miejscowe a idźcie za wolnością. Izby i budżety, handel i rolnictwo, *wszystko przyjdzie samo z siebie*, ale naprzód o swobodzie tylko myśleć należy.

Ci, co rozprawiają o arystokracyi i demokracyi, podobni są do chrześcian pierwszych, rozprawiających o obrzezaniu i umywaniu rąk, bo narody zbawione będą nie przez stary zakon, ale przez zasługi narodu umęczonego, i ochrzczone będą w imię Boga i wolności.

Do praw pisanych miał autor *Pana Tadeusza* niewymowny wstręt. Prawa, powiada, są jako obligi, rządy jak wierzyciele, a ojczyzna jak dobro. Im podlejszy jest wierzyciel, tem mocniej go opisują a ojcu i bratu wierzy się bez obligu. Nie ci najlepiej urządzą państwo, którzy rozprawiają, ale ci, którzy najmocniej czują i najpełniejsi są poświęcenia. Podobna jest forma rządu przyszłego do kształtu mowy wyuczonego mówcy. Ten, idąc na radę, obmyśla, jak zacząć, co położyć na początku, co we środku, a co w końcu, bo tak nauczył się w szkole; ale iż sprawy narodowej mocno nie czuje, więc mowa jego będzie sztucznie ułożona, lecz pusta—przejdzie i pamięci nie zostawi. A człowiek poczciwy, idąc na radę narodową, pełne ma serce miłości i czuje prawdę tego, co ma mówić, chociaż nie myśli o porządku; mowa jego będzie porządna i spiszą ją skoropisowie na wzór dla innych. Owoż i prawodawcy pełni miłości postanowią urzędy w kraju stosownie do potrzeby i będzie kraj urządzony dobrze, a drudzy to urządzenie przepiszą i naśladować będą. Dotychczasowe konstytucye i prawa nie zaspakajają potrzeb narodów, bo one są historyą przeszłości i mogą służyć chyba za punkt podpory, ale nie za prawidło ludziom stąpającym w przyszłość. Dlatego wszystkie prawa, które przechodziły różnorodne dyskusye zgromadzeń, butwieją dziś w księgach i nie są użyteczne; pierwszym bowiem warunkiem politycznego działania jest zazierać ciągle w serca i w myśli mas, nie zaś do starych dokumentów.

Na papierze umieszczają się prawa wtedy, kiedy już zaczynają uciekać z serca i pamięci. Są to rachunki, które wtenczas zapisujemy, kiedy już boimy się, abyśmy o nich nie zapomnieli. Mickiewicz uwielbiał tylko jedno prawo pisane: konstytucyę trzeciego maja. Tym jednym aktem przeszłości polecał przejmować się, ale dla tego tylko, ponieważ sądził, że prawo to nie wypadło z głowy pojedynczego mędrka, z ust kilku rozprawiaczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy, że nie czerniło się tylko na papierze, ale żyło w pamięci, w życzeniach pokoleń, że było więc prawem żywem, zakorzenionem w przeszłości a mającem się rozwinąć w przyszłości. Ci, którzy rozpisują się szeroko o „konstytucyi czysto oderwano rozumowej“ i „o stosunkach między konstytucyami najucywilizowańszych narodów z prawami polskiemi“ i „powszechnemi dla świata“ — nie mają wiele oleju w głowie, bo gdy jednego z nich obrano podsędkiem w Traszkunach, nie umiał rozstrzygnąć sprawy o wołu między Ickiem a Janem.

(D. c. n.).

H. Biegeleisen.

Z FRANCYI.

Lepage. — Fleury. — Pelletan. — Bankier żeromistów. — Coquelin i Molière. — Sport w sztuce Coppée w Akademii. — Dr. Poznański przeciwko cholerze.

Najprzód wypada mi dziś oddać pośmiertny hołd trzem wybitnym ludziom, których zgon pogrążył w smutku Paryż artystyczny, polityczny i literacki. W osobie Bastien-Lepage'a, sztuka francuska straciła jednego z najzdolniejszych i najsumienniejszych malarzy. Zostawił on po sobie nietylko trwałe dzieła, ale nadto wywarł na młodą szkołę francuską dosyć znaczny wpływ. Malował portrety, obrazy rodzajowe i historyczne. Francuzi lepiej ocenili jego zdolności niż my, np. Redlicha; to też za życia nie marł on z głodu, owszem wiele zarabiał za portrety, które drogo płacono, po śmierci cały Paryż mówił tylko o nim, wyprawiono mu piękny pogrzeb, w którym uczestniczył nawet p. Ferry, a wojsko robiło honory jako oficerowi legii.

Pogrzeb ten choć był liczny, nie może się przecież równać z pogrzebem generała Fleury, przyjaciela Napoleona III-go, jednego z najdzielniejszych żołnierzy. Był

on przedstawicielem i gorącym zwolennikiem idej zupełnie innych, jak te, które dziś we Francyi panują; to jednak nie przeszkadzało do oddania mu czci i uznania na jakie zasłużył. Dzienniki były przepełnione najdrobniejszymi szczegółami z jego życia; a na pogrzebie znajdował się cały Paryż, pomimo deszczu i zimna.

Zupełną sprzecznością z generałem Fleury był kwestor Senatu, Pelletan, pisarz polityczny, nieco marzyciel, który umarł prawie jednocześnie, rażony atakiem apoplektycznym w pałacu Luksemburgskim.

Śmierć, zabierając generała Fleury i Pelletana, okryła żałobą dwie potężne partye, które przy nowych wyborach występują do walki bardzo zawzięcie. Pomiędzy innymi jej objawami trzeba zaznaczyć wielki bankiet, jaki wydali zwolennicy księcia Hieronima czyli tak zwani żeromiści, z powodu rocznicy dnia, w którym Ludwik Napoleon Bonaparte wybrany został prezydentem rzeczypospolitej. Półtora tysiąca uczestników zebrało się w sali zwanej *du lac Saint Fargeau*, gdzie przemawiali: Pascal, Richard, Poignant, naturalnie nietylko przeciwko republice, ale nawet przeciw orleanistom, rojalistom, a głównie przeciw stronnikom księcia Wiktora.

Jednocześnie z bankietem *żeromistów* odbywały się trzy rewolucyjne zgromadzenia; anarchistów, blankistów i socyalistów. Treść mów, jak zawsze ta sama, nacechowana nienawiścią do obecnego porządku rzeczy, pragnieniem społecznego wywrotu.

Dziś wszyscy dążą za przemianą, za nowością, choćby nawet nie zupełnie uzasadnioną a często nie logiczną. Przyczynę tego możnaby upatrywać w rozgorączkowaniu umysłów pragnących ustawicznie nowych wrażeń; stąd ci wszyscy, którzy chcą błyszczeć, być wielkimi, siłą się na oryginalne pomysły aby tylko się podobać.

Do takich błyskawicznych wielkości należy Coquelin. Przeczyć mu talentu, byłoby gonić za tąż oryginalnością, ale że znów nie jest takim olbrzymem, za jakiego go okrzyczano, że nasz Żółkowski nietylko mu nie ustępuje, ale go nawet przewyższa, to według mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Otóż p. Coquelin, jak wszyscy inni artyści, chciał spróbować swoich sił na Molierowskim *Tartufie*, ale przytem odznaczyć się więcej, niż wszyscy inni, którzy dotąd w tej trudnej roli występowali. Według niego *Świętoszek* jest osobnikiem wesołym, który winien być odtworzony przez komika; gdy wciska się do domu, zyskuje zaufanie człowieka na to, aby mu zbałamucić żonę, gdy kłóci go z dziećmi, aby go okraść z majątku — jest widocznie jowialny; z którego się można doskonale uśmiać. Dotąd o tem zupełnie nie wiedziano, i bez Coquelina, pewnie niktby się nie dowiedział.

Swą dobroć względem Moliere'a posunął nawet do tego stopnia, że całą sztukę zmienił, byle tylko wydobyć na wierzch rolę główną, która winna być pierwszorzędną tembardziej że ją gra... Coquelin.

W nowej odmianie, *Świętoszek* okazał się tak zaborczym, że inne role prawie pochłonął, bo dowcipny aktor uznał za stosowne usunąć.

Z drugiej znów strony, komedya wierszem, czy myślicie że to będzie bardzo komiczne? Nie, wszak prawda? P. Coquelin zaczął *Świętoszka* przekładać na prozę i — przyszła mu świetna myśl.

— Co jest najkonieczniejszem w teatrze? zapytał on. Bezwątpienia efekt materyalny. Nie ma ani jednego zabawnego słowa, któreby rozśmieszyło publiczność tak, jak aktor, który siada około krzesełka. Nie ma ani jednego dowcipu, któryby był komiczniejszy od aktora, który sobie tłucze nos o drzwi. Na tej więc drodze trzeba szukać laurów.

P. Coquelin szukał i znalazł, i oto jak będzie grał rolę *Świętoszka* w przyszłą rocznicę śmierci wielkiego Molier'a:

Wejdzie na scenę z miną wesołą w ten sposób, aby widziano, że jest szczęśliwy, znajdując się w domu Organ'a.

Skieruje się zaraz ku krzesłu, ale zamiast usiąść na niem, usiądzie około. Wstanie potem, głaszcząc się komicznie po stłuczonych miejscach.

To będzie oznaczać, że woli wyjść. Ale w chwili wyjścia stłucze sobie mocno nos o drzwi, co będzie dla Tartuffa mniej niebezpieczne, niż takie pojęcie jego charakteru, ale bezwątpienia więcej komiczne.

Że oryginalność w Paryżu popłaca, dowodem wystawa obrazów którą zatytułowano: *sport dans l'art*. Gdyby ją nazwano po prostu: wystawą na ten i ten cel, dochód byłby mały, bo Paryż jest przesycony wystawami. Ale pomysłowi organizatorowie, znają dobrze słabe strony paryżan, więc aby ich zaciekawić, dodali magiczne słowo *sport*. Wszystko, co się odnosi do ćwiczeń ciała jest zawarte w tym wyrazie. Sportem jest polowanie, fechtunek, jeżdżenie na łyżwach. Elegant, który się ceni jest koniecznie *sportsman*. Czy lubisz konie i psy? Czy cię interesuje polowanie? Czy cię zajmują wyścigi? Czy uczęszczasz do sali fechtunku? Oto kwestye sportu.

Iluż to malarzów wszystkich narodów zajmowało się sportem, a więc końmi, psami, polowaniem, wyścigami. Trzeba było tedy zjednoczyć jakąś część ich prac w jedno miejsce.

Tak też i zrobiono. Lokal do wyboru nastręczał się sam przez się: jestto galerya p. Georges Petit. Aby mieć płótno, należało tylko zapukać do drzwi zbieraczy. W krótkim czasie, organizatorowie zgromadzili prawdziwe muzeum. Rzeczy, które nadesłano, są po większej części wysokiej wartości. Nie możemy poświęcać im całego studyum, choć na to zasługują; ale przynajmniej wskażemy niektóre, pierwsze przeto miejsce zajmuje serya psów i zwierzyny Oudry'ego, dalej psy Fyt'a, Decamps'a, Gericaulta i Gennes'a.

Następują konie i polowania. Tu widzimy przed innymi G. Parqueta, Degas'a;

Akademia francuska obchodziła prawdziwe święto poezyi: przyjmowała Franciszka Coppée'go, obdarowanego fotelem poety Victora de Laprade, który zasiadł po Alfredzie de Musset. Ciekawych przybył tłum, głównie — kobiety. Ojcami chrzestnymi byli: Emil Augier i Sully-Prudhomme. Wszystkie oczy były naturalnie skierowane na nowego akademika, który w czarnym fraku z zielonemi palmami i szpadą u boku, nie zdawał się być wcale zmięszany tym uroczystym aktem.

Głowa prawdziwie poety, taka o jakiej mogą marzyć czytelniczki *Reliquaire i Intimités:* szlachetna, wyraz twarzy melancholiczny z zakrojem ust trochę gorzkim. Włosy czarne i długie. Obsada oczów, nos, spojrzenie przypominają medalion Bonapartego a także Sardou.

Według przyjętego zwyczaju nowy akademik winien wypowiedzieć pochwalę dla swego poprzednika.

„W chwili — rzekł on — w której mam wielki zaszczyt przemawiać wobec was, jestem istotnie bardzo wzruszony; ale serce moje przeniknione wdzięcznością, nie czuje jednak żadnej obawy. Bo przecież płynie około mnie strumień sympatyi który mnie ogrzewa i dodaje odwagi. Akademia, która jest rzadką i świetną instytucyą, jeszcze nietkniętą i całą pośród ruin starej Francyi, zachowuje swe starożytne przywileje, i dla poetów, prawie wygnanych z teraźniejszego społeczeństwa wypełnia szlachetnie prawo schronienia. W niej czuje się każdy tak pewnym, w atmosferze dobroczynnej opieki, jak zbieg z czasów merowingów w zacisznym klasztorze św. Marcina z Tours."

Po tem rzęsisto oklaskanym wstępie Coppée naszkicował piękny kontrast siebie ze swym poprzednikiem. Mowa jego nie była tylko czczą formalnością, panegirykiem banalnym, ale prawdziwym i z serca płynącym hołdem.

Najciekawszym dla nas był jeden ustęp. Coppée kreśląc życiorys Laprade'a, powiedział że ten poetą nigdy być nie myślał. Miał usposobienie poetyczne, ale zajmował się adwokaturą. Aż oto raz przychodzi do niego nasz Gaszyński i prosi go, aby napisał mu co w album. Chwila ta była ważną w jego życiu—Laprade siadł i nakreślił wiersz, w którym od razu zajaśniał wielki talent. Zachęcany przez przyjaciół, zaczął pisać więcej i stał się istotnie wielkim poetą. Jako wyraz uznania dla nas tłómaczył nawet Krasińskiego.

Szczegół ten z życia zmarłego poety był ważną sposobnością dla p. Coppée, który oddał i naszym dążeniom do wielkich cywilizacyjnych idej, hołd należny.

Rozprawę zakończył nowym aktem skromności. Po przypomnieniu Lamartine'a, Musseta i W. Hugo, tych trzech geniuszów wieku, podziękował akademii, że myśli od czasu do czasu i o poetach mniejszych.

Chociaż cholery już dawno niema, warto wspomnieć, że przyjechał do Paryża delegat rządu rosyjskiego, dr. Poznański, który ma posiadać (!) od lat trzydziestu, radykalny niemal środek przeciwko cholerze, zdobyty z obserwacyi chorych w więzieniu wileńskiem. Dr. P. zauważył, że przed objawieniem się zarazy pulsacya u dotkniętych nią osobników bardzo słabnie. Otóż dostrzegłszy to, łatwo — według niego — chorobę usunąć wzbudziwszy stosownymi środkami pulsacyę szybszą, co usiągnąć można przedewszystkiem za pomocą — kwasu pruskiego, (środek we Francyi wcale nie patryotyczny). P. Poznański był już dawniej z tą sprawą w Paryżu starał się ją przeprowadzić przez Akademię Nauk i uzyskać przychylny wyrok tego najwyższego trybunułu wiedzy. Nie tak to jednak łatwo zdobyć tę warowną twierdzę.

W tym roku dr. P., opatrzony rekomendacyą rządu, przybył znów do Paryża, ale po to tylko, aby powiedzieć mowę pogrzebową cholerze.

Nie ustaje przecież w swych zabiegach i w przyszły wtorek w Akademii medycznej ma czytać swoją rozprawę.

Gnotus.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Generał feldmarszałek hr. Moltke. **O Polsce.** Przekład z upoważnienia autora dokonany. Lipsk, Brockhaus. 1885. str. VIII+103.

Wydobyte z zapomnienia przez pana G. Karpelesa, przed półwiekiem napisane dziełko ukazuje się obecnie w przekładzie polskim. Poprzedza je przedmowa p. Karpelesa, drukowana po niemiecku w miesięczniku *Vom Fels zum Meer*; dowiadujemy się z niej o losach książki Moltkego, którą biografowie i bibliografowie przeoczyli. Ponieważ pisałem już o tem w numerze 35 *Prawdy* z r. 1884 i podałem treść części pierwszej, wznowionej wówczas po niemiecku, ograniczę się więc tutaj kilku słowami o tłomaczeniu polskiem, pozostawiając ocenę treści bieglejszym odemnie znawcom dziejów naszych.

Przekładu dokonał niemiec, nie trzeba się przeto dziwić, że napotykamy w nim zwroty giermańskie i tok mowy nieco cudzoziemski; naogół jednak czyta się ono płynnie i jest zrozumiałem, a czasem odznacza się nawet niejaką wytwornością

stylu, która daje pewne wyobrażenie o zaletach retorycznych oryginału. Tłomacz należy do nielicznej garstki niemców, umiejących nietylko czytać, ale i pisać po polsku; jest on jednem z pożądanych ogniw międzynarodowych, które ułatwiają wzajemne poznawanie się i zbliżanie zwaśnionych plemion na neutralnym gruncie literatury i wiedzy; miejmy nadzieję, że bliższe poznanie przyłoży się do obudzenia wzajemnego szacunku i ułatwi drogę do prawdziwie ludzkiego kompromisu w wiekowym naszym procesie granicznym. Rzecz niewątpliwa, że i sama treść książki Moltkego przyczyni się do obustronnego uspokojenia, przemawia z niej bowiem uznania godna bezstronność i przedmiotowość.

Dla ułatwienia podaję tu kilka poprawek błędów w wyrazach i nazwiskach, które zapewne mimo woli tłomacza wkradły się do jego przekładu. Na str. 3 frazesu „by znaleźć prawne uzasadnienie“ w oryginale niema. Str. 5 „starosta ze Żmudzi“ czytać należy „starosta żmudzki.“ Str. 13 przez „Septuagesima“ zapewne autor chciał oznaczyć *wielki post.* Str. 19 zamiast 1573 powinno być 1572. Str. 31, odsyłacz 2, mowa zapewne o klasztorze *tynieckim* i *Klemensie z Ruszczy.* Str. 33 zamiast „obchodzić sądownie chłopa“ powinnoby być „omijać juryzdykcyi kmiecej.“ Str. 34 zamiast „jakiekolwiek“ ma być „jakichkolwiek;“ tamże w odsyłaczu 3 czytać należy *Załaszowski.* Str. 36 ods. 1, zamiast R. czytać *Skrzetuski.* Str. 45, ods. 1 czytać nazwisko: *Żuchowski.* Str. 46 poprawić datę na 1682. Od str. 69 kilka razy wydrukowano Mokranowski zamiast *Mokronowski.* Str. 74 zamiast *bagonetu* ma być *bagnetu.* Str. 83 odsyłacz 1, powinno być *Grävenitz.* Str. 85 zamiast Litane ma być *Lithuanie.* Str. 86 i 88, w odsyłaczach czytać *Jekel.* Str. 90 zamiast Białorosya czytać *Białoruś.* Str. 93 ods. czytać *Kortüm.* Do str. VII, oprócz uwagi, zamieszczonej w numerze 35 *Prawdy,* dodać winienem, iż i bibliografia Estrajchera wymienia dzieło Moltkego w miejscu właściwem. Co do tytułu „generał feldmarszałek,“ zdaje mi się, iż niestosownie figuruje on na przekładzie książki, którą, jak powiada przedmowa, napisał w r. 1832 „wówczas skromny jeszcze autor.“

Kończę odwołaniem się do bibliografów naszych: czyby nie znaleźli w czasopismach polskich spółczesnego sądu lub sprawozdania o piśmie p. Moltkego; powtórzenie dziś takiego sądu byłoby bardzo zajmującem.

Jan Karłowicz.

Dr. Michał Szymanowski. **Opłaty stemplowe w Polsce** (1775—1884). Warszawa, 1884.

W krótkiej rozprawce, stanowiącej odbitkę *Biblioteki warszawskiej,* podaje autor przegląd ustawodawstwa stemplowego w Polsce, poczynając od konstytucyi sejmowej z r. 1775, aż do chwili bieżącej. Szkic ten poprzedzają uwagi co do istoty opłat, pobieranych przez rząd za pewne działania i czynności, podejmowane w interesie osób prywatnych. Ze stanowiska umiejętności skarbowej słuszną jest rzeczą, że ilekroć jednostka posługuje się urządzeniem lub instytucyą, istniejącą kosztem ogółu i dla dobra wszystkich, powinna za taki użytek uiścić odpowiednią zapłatę. Lecz zachodzi właśnie wielka wątpliwość co do wysokości tej zapłaty, która częstokroć o wiele przewyższa rzeczywistą wartość okazanej przysługi. Nie dotykając innych rodzajów, przyznać musimy, że same tylko należności stemplowe ściągane są w bardzo rozmaitych wypadkach, w miarę stosunku, jaki zachodzi w pewnej czynności urzędowej pomiędzy osobą prywatną a instytucyą rządową. Mogą to być sprawy całkiem administracyjnej natury, procesy sądowe, akta sądowe lub prywatne, przez rząd legalizowane, umowy majątkowe, zobowiązania, darowizny i spadki. W razie ujawnienia w aktach funduszów ruchomych lub nieruchomych, opłata, zamiast stosować się do rzeczywistej wartości oddanej przez rząd przysługi, staje się proporcyonalną do kapitału, i tu właśnie stopa opłaty, która przybiera charakter zwykłego podatku, stanowi kwestyę nader drażliwą.

W przytoczonych przez autora na wstępie do rozprawy licznych źródłach znajdujemy nazwiska takich powag w nauce skarbowości, jak Rau, Stein, Schäffle, Biliński etc. Panowie ci, jako przedewszystkiem finansiści, w praktycznym poglądzie na naukę skarbowości po większej części godzą się z potrzebą istnienia opłat od czynności urzędowych, a nawet uznają istnienie odrębnego podatku alienacyjnego. Ekonomiści, zapatrujący się na rzecz ze stanowiska więcej teoretycznego, częstokroć do innych wcale przychodzą wniosków. Wszelki podatek — a do podatków zaliczyliśmy poniekąd i opłatę stemplową — ma być uiszczony tylko od dochodu jednostek, bez względu czy dochód ten płynie z pracy osobistej, czy z posiadanego kapitału. Słuszną więc jest rzeczą, ażeby wszelki kapitał, będący w obiegu i zyski właścicielowi przynoszący, podlegał podatkowi w miarę ujawnienia swego istnienia w jakiejś umowie lub zobowiązaniu, gdyż akt taki w każdym razie zastrzega dochód lub zysk posiadaczowi kapitału. Lecz kapitał, użyty do nabycia majątku nieruchomego, traci swe cechy obrotowe. Dochód, podlegający w tym razie opodatkowaniu, jest to już dochód z posiadłości ziemskiej lub miejskiej. Opodatkowanie więc kapitału z tytułu zmiany posiadania własności sprowadza ten skutek, że strona, ponosząca koszta tranzakcyi, traci nie z dochodu, lecz z samego kapitału, gdyż podatek pobiera się od kapitału, zanim tenże oczekiwany dochód przyniesie. Z tego powodu Mill w swych *Zasadach ekonomii politycznej* czyni uwagę, że nie wolno w żadnym razie dotykać kapitału, a podatek należy regulować jedynie do dochodu.

Dzieje naszych ustaw stemplowych są tak krótkie, jak krótkiem było ich istnienie. Ustawy sejmowe z lat 1775 i 1776, po raz pierwszy ustanawiające opłaty stemplowe, z tego względu szczególnie na uwagę zasługują, że można w nich dostrzedz jakąś postępowość podatku w stosunku do sum, będących przedmiotem aktu. Tak np. od sumy 50,000 zł. brano 30 zł. stempla, od 100,000 zł. 90 zł. od 150,000 zł. 210 zł. itd. Skąd ta zasada rewolucyjna do naszych sejmów zawitała; czyżby kto z przodków naszych w owym czasie z Rousseau'a czerpał podstawy do konstytucyj sejmowych?

Wiek XIX obdarzył nas dwiema ustawami stemplowemi z r. 1811 i 1863. Obie w zasadach wielce do siebie podobne, różniły się głównie co do stopy opłat w danych wypadkach. Obie posiadały jednostajną wadę, iż pod nazwiskiem ogólnem stempla obejmowały różne rodzaje opłat, których z natury wcale za stempel uważać nie należało, jak: opłaty sądowe, kolateralne, nominacyjne i inne lecz obie odznaczały się umiarkowaniem stopy i całkiem odpowiadały potrzebom istniejącego prawodawstwa, a to właśnie zjednoczenie różnych opłat w postaci stempla znakomicie upraszczało rachunkowość i rewizyę dochodu. Od d. 13 lipca 1884 wprowadzoną została w to miejsce ustawa stemplowa Cesarstwa, a razem z nią ustawy szczególne o opłatach od akt wieczystych, o spadkowych itd. W rozbiór nowych opłat autor nie wdaje się, znajdując, że kwestya ta wymaga oddzielnej pracy. Żałować tego wypada, pożądanem bowiem byłoby zbadanie nowego systemu opłat ze stanowiska czysto naukowego, nieopartego jedynie na poglądach, wypływających z bieżącej praktyki rejentalnej.

P. W.

TEATR.

Amilkara Ponchielli, opera w 4 aktach *Gioconda.*

W muzyce włoskiej współczesnej Verdi swą *Aidą* dał początek kierunkowi, który jeden z krytyków francuskich nazwał „mieszanym,“ ponieważ spływa się w nim melodyjność dawnych italskich pieśniarzy z symfoniczno-orkiestrowem traktowaniem lirycznego dramatu, którego mistrzem i twórcą jest Wagner. Kierunek ten jednak nie jest mieszaniną dwu stylów, ale raczej skojarzeniem dodatnich stron dwu metod, któremu nie grozi zwykła wielu typom mieszanym bezpłodność. Nic bowiem naturalniejszego, że kompozytorowie włoscy, dziedzicząc twórczego ducha melodyi, ulegli wreszcie prądom reformatorskim, które zapanowały w całej muzyce europejskiej, że posługują się całem bogactwem techniki i charakterystyki orkiestrowej. Chociaż w *Aidzie* Verdi jest odszczepieńcem prawdziwej „włoszczyzny,“ nie jest jednak ślepym naśladowcą, nie zatraca potężnej swej indywidualności, również jak bardziej jeszcze symfonizujący Boito, pełen włoskiej brawury, poezyi i demonizmu. Nie wina to kierunku, jeżeli talenty mniejszej miary, jego śladami idące, nie mogą się zdobyć na pierwszorzędną oryginalność i wpadają poprostu w eklektyzm, jak właśnie autor świeżo przedstawionej muzycznej nowości Amilkar Ponchielli, ktory w szeregu swych dzieł stworzył także muzyczną ilustracyę przerobionego Konrada Walenroda p. t. *I lituani.* Krytyka włoska uważa *Giocondę* za najlepszy utwór lubianego powszechnie kompozytora, a publiczności przypada coraz bardziej do gustu to dzieło, zyskujące na różnych scenach wielką wartość obiegową. Twórcą libreta jest Arrigo Boito, który, idąc w ślad za Wagnerem, nietylko sam do swej opery tekst napisał, ale dostarcza wątku dla muzycznego dramatu swym towarzyszom w sztuce, dając godny zaiste uznania przykład braku współzawodniczej zawiści. Rdzeniem akcyi jest tu treść *Angela Malipieri* Wiktora Hugo, z tą różnicą, że niektóre stosunki librecista pozmieniał, a żywioł malowniczy, zawarty w opowiadaniach dramatu, wyprowadził w akcyi i wzbogacił swymi pomysłami, nader zręcznie obrachowanymi na efekt sceniczny, ze zwykłą w tekstach operowych pogardą dla prawdopodobieństwa. Kompozytorowi jednak dostarczył librecista materyału zarówno do charakterystyki lirycznego wylewu uczuć, jak i do rozwiązania bogatych i ruchliwych scen zbiorowych, mniej zaś do zarysowania działających postaci.

Akt pierwszy na placu św. Marka wypełniają ruchliwe i zręcznie prowadzone, chociaż nieuderzające oryginalnością sceny ludowe, sprzeczki graczów i marynarzy, wśród których zawiązuje się początek miłosnego wątku, dość zawile i zręcznie zaplątany. Z pomiędzy działających osób kreśli się wybitniej Barnaba, szpieg Rady dziesięciu, będący główną sprężyną akcyi— postać na pół szydercza, na pół demoniczna, której kompozytor nie potrafił wyzyskać dość barwnie. Muzyka aktu pierwszego nie posiada uderzających piękności, a pierwszym ustępem opery, który silniej porusza słuchacza, jest śliczny, pełen namiętnego uczucia duet pomiędzy rywalkami w akcie drugim, kończący się jaskrawym efektem— wysadzeniem w powietrze okrętu.

Akt trzeci obfituje także w mnóstwo jaskrawości scenicznych a zamyka się szero-

ko prowadzonym finałem, chociaż w całości zdradza reminescencye różnych kompozytorów.

Akt czwarty niema żadnych prawie efektów zewnętrznych, ale za to pod względem muzykalnym jest najpiękniejszy, posiada bogactwo melodyi. Ostatnia arya Giocondy stanowi prawdziwą perłę poezyi i uczucia.

Całość pod względem muzykalnym nie przedstawia się jako dzieło jednolitego nastroju, zawiera, obok ustępów, tętniących uczuciem, albo istotnie pięknych, dosyć roboty zręcznej na zwykłą miarę, a trochę nawet po włosku banalnej. Nie widać tu bynajmniej tchnienia twórczej indywidualności, ale w władaniu orkiestrowemi masami P. jest mistrzem, stojącym na wysokości dzisiejszego wydoskonalenia form i środków technicznych. Nie może się Ponchielli poszczycić takim np. darem charakterystyki figur, jaką rozwinęli Gounod lub Meyerbeer w celniejszych swoich operach i zawsze potrąca o ogólnikową deklamacyę we włoskim stylu, ale pod tym względem nie mógł znaleźć przykładu nawet w twórcy muzyki przyszłości, który także rysunek swych postaci roztapia w symfonicznem marzycielstwie.

Jako dzieło muzyczne, *Gioconda* nie należy do tworów wybitnych, pierwszorzędnych, nie jest objawem geniuszu, wyrazem przełomu w danym kierunku, ale dla ogółu słuchaczy przedstawia się jako efektowny utwór sceniczny, ożywiony pewną werwą włoską, która umie podnosić nawet dość pospolite efekty i korzysta z najnowszych zdobyczy techniki muzycznej.

Dla wykonawców przedstawia opera niemało trudności, gdyż obok strony wokalnej, każda niemal postać jest dość trudną pod względem gry dramatycznej. Rolę tytułową wykonała pani Dowiakowska sumiennie i starannie, ze zwykłą niespożytą siłą głosu i umiejętnością śpiewu. Strona aktorska, jak zwykle u tej artystki, była mniej zadawalniającą. Rolę tę należałoby powierzyć do dublowania pannie Dobieckiej, która, jakkolwiek młoda i mniej doświadczona, jednakże posiada właśnie temperament dramatyczny i zdolności aktorskie bardzo tutaj potrzebne w wielu chwilach. Może to się nie zgadzać z pojęciem monopolu, tak zabójczem dla młodych talentów, ale teatr nasz zaangażował przecie zdolną artystkę nie na to, aby miała więdnąć w bezczynności. Drugą, ale wdzięczną partyę Laury panna Herman śpiewała z brawurą i uczuciem, grzesząc tylko, jak zwykle, wymową, nieczystą i afektowaną. Tenorowa rola, trzymana w tonie liryczno-bohaterskim, jest dosyć banalną. W wykonaniu jej przeszkadzała p. Myszudze fatalna niedyspozycya, udaremniająca najlepsze usiłowania sympatycznego artysty. P. Chodakowski rolę Barnaby, zwłaszcza na drugiem przedstawieniu, spełnił bardzo dobrze, wydobywszy w śpiewie i frazowaniu odpowiedni charakter ponury i szyderczy. Wyraźna dykcya artysty jest nie małą jego śpiewu ozdobą. Pan Seidemann z pospolitej basowej partyi inkwizytora wydobył parę dramatycznych efektów. Chóry wogóle szły zgodnie, ruszały się i grały raźno, całość pod względem muzycznym spływała się w karną harmonię pod wodzą wytrawnego kapelmistrza. Przedstawienie zaimponowało niebywałą u nas ostatnimi czasy pięknością dekoracyi, bogactwem i malowniczością kostiumów i szczęśliwymi efektami maszyneryi, które świadczą, że teatr pragnie porzucić dawną nainwność mechanizmu scenicznego i zastosować najnowsze na tem polu zdobycze... Jak na początek wędrowne chmury sprawiły się nieźle, chociaż flegmatycznie sunęły po niebie, ale z czasem się zapewne rozruszają.

S. B.

Filip Sulimierski.

(Wspomnienie pośmiertne).

Gdyby nie kilka trzeźwiejszych i rozumniejszych głosów, ten serdecznej pamięci godzien człowiek położyłby się do grobu obsypany kwiatami niespełnionych a bez wieńca za spełnione czyny. W niezręcznych nekrologach mianowano go fundatorem instytucyj, których był zaledwie członkiem, liczono mu po wysokiej cenie zwykłe artykuły dziennikarskie, nawet odpowiedzi od redakcyi, a natomiast dorzucano lekką ręką to, co stanowić będzie długotrwałą Sulimierskiego zasługę. Dawniejsi czytelnicy *Prawdy* pamiętają, jakiemi słowami uznania powitaliśmy *Słownik geograficzny*, jak popieraliśmy go, jakie zastrzegliśmy dla niego miejsce w literaturze naszej (1882 — art. „Wydawnictwa pomnikowe"). Nie jest to więc dziś pogrzebową dla nieboszczyka grzecznością, gdy to wydawnictwo, którego on był inicyatorem i główną podporą, postawimy na czele zasług Sulimierskiego i nazwiemy — jak dawniej — pomnikowem. Nie traci ono tego tytułu nawet przez swe błędy, nieuniknione w pracy tak rozległej a pierwszej; pozostanie zawsze dziełem wspaniałego zakroju i olbrzymiej użyteczności. Za granicą tylko bogate Akademie, skarbce rządowe lub zamożne szkatuły prywatne podejmują takie przedsięwzięcia, ubezpieczone nadto szerokiem zapotrzebowaniem; u nas ten ciężar dźwignęło kilku ludzi bez nadziei szybkiego powodzenia. A Sulimierski był między nimi najczynniejszym. Chociaż śmierć pozwoliła mu uczestniczyć w tej pracy zaledwie do litery *M.*, jego imię zachowa na kartach pierwszej encyklopedyi geograficznej polskiej swoje zaszczytne pierwszeństwo.

Wobec *Słownika* inne literackie pamiątki po Sulimierskim stanąć mogą tylko na planie dalszym. Najważniejszą z nich jest wieloletnie redagowanie a później i wydawanie *Wędrowca*, jedynego pisma podróżniczego u nas. Wzmagająca się choroba sercowa, której groźb zmarły nie odczuwał, ale która wywierała niewątpliwy wpływ na jego umysł, zniechęcała go kolejno do wszystkich zajęć, prócz pracy nad *Słownikiem*. Dwa razy stawał na czele gazety codziennej (*Nowiny*), pisywał sprawozdania polityczne, wreszcie porzucił te obowiązki, do których tylko przygodnie wracał. Z ukształcenia matematyk, nie miał naukowego gruntu dla wywodów polityczno-społecznych, które wysnuwał z chwilowych natchnień lub zdrowego rozsądku. Ale ten właśnie rozsądek służył mu nieraz trzeźwą radą i nie pozwalał zabłąkać się na manowcach publicystyki. Chociaż nieprzygotowany do postawienia lub przyjęcia jakiegoś określonego programu, jakiegoś stanowiska w rozwiązywaniu zagadnień społecznych i politycznych, posiadał szczęśliwą intuicyę, która go nie zaprowadziła do żadnego obozu, ale przyciągała ustawicznie do szeregu postępowego. Był to umysł jasny, na każde nowe światło wrażliwy, dla nowych idej dostępny, a zarazem był to charakter prawy.

Usta *Prawdy* często milczą o tej stronie schodzących ze świata, ale nigdy nie rzucają na nią blasków kłamliwie dla dogodzenia fałszującemu opinię zwyczajowi. Jeżeli więc zaznaczamy szlachetność Sulimierskiego, to składamy szczere słowo uznania na jego grobie, a nie wytarty liczman w ręce dziada, który ma się modlić za duszę nieboszczyka. Sulimierski był istotnie człowiekiem uczciwym, a p. Dygasiński, który mu z serdecznych słów wianek na trumnę za to złożył, był rzetelnym tłomaczem prawdziwych uczuć pogrzebowego grona.

Pióro nieboszczyka służyło i naszej *Prawdzie* i jej więc współpracowniczy orszak stracił towarzysza. W 41 roku życia otrzymać od natury nieubłagany rozkaz opuszczenia świata i pola użytecznej, zacnej działalności — to tak smutne dla świadków spełnienia się tego okrutnego wyroku, aż w ich sercach pozostaje bolesny protest.

LIBERUM VETO.

Nowa demokracya. — Manifest do natury. — Zwycięztwo kobiety brzydkiej. — Estetyczne znieczulenie. — Brutta i Bella w przyszłości. — Robotnik nasz obejrzany okiem szwedzkiem. — Głos z Jawy. — Czemu polak emigruje. — Jego przemiana za granicą. — Wojna pracy. — Sedan i Filadelfia. — Nasze malarstwo w usługach galanteryi.

Od dnia 1 stycznia 1885 r. mamy stan piąty, może już nawet szósty, w każdym razie nową demokracyę — brzydoty. Tego bowiem dnia ogłosił jej prawa i nadzieje zwycięztwa p. W. Bogusławski w *Kuryerze warszawskim*. Jego bohaterka wydajo taki manifest do natury: „Piękność jest ostatnią arystokracyą... Życie dało początek wszystkim nierównościom i ono po kolei wszystkie je wyrównało. Gdzie arystokracya myśli, geniusz? Rozpłynął się w falach powszechnej oświaty. Gdzie arystokracya serca, sztuka? Umiera w zabójczym ucisku rzeczywistości — itd. Dzisiejsza nauka głosi, że istoty, przystosowując się do nowych życia warunków, stwarzają sobie nowe organa. Brzydota zdobyła sobie w walce o byt taki organ." Niewątpliwie — kobieta brzydka spostrzegłszy, że niema racyi bytu przez samą zewnętrzność, zaczęła wyrabiać w sobie przymioty, które równoważyły jej upośledzenie fizyczne: stała się rozumną, pracowitą wierną — matką, żoną, przyjaciółką itd. Ale, jeżeli tymi środkami podniosła swoje stanowisko, a nawet w wielu wypadkach zwyciężyła — jakież było to zwycięztwo? Czysto moralne i umysłowe, estetycznie zaś pozostała ona bez wartości. Otóż zachodzi pytanie: czy człowiek zobojętnieje na tę nierówność natury, na wdzięki zewnętrzne? Czy utraci wrażliwość na kształty ciała? Pewnem jest, że ta wrażliwość znacznie w nim osłabła. Dziś sędziowie nie daliby się rozbroić obnażeniem pięknej winowajczyni, dziś żaden Sokrates nie drżałby ze wzruszenia, spojrzawszy na odsłoniętą pierś Charmidesa i nie zrozumiałby nawet pokuszeń Alcybiadesa, dziś piękny mężczyzna przedstawia tylko cenę amatorską, dziś pod tym względem wiele — jakby się wyraził Heine — „zżydzieliśmy." Chrześciaństwo stępiło uczucia estetyczne, złamało kult ciała, a dźwignąwszy wiele istot upośledzonych, wyświadczyło wielką zasługę płci niewieściej. Każda też kobieta brzydka powinna być gorliwą chrześcianką, jeśli nie z przekonania, to z wdzięczności. Tej religii zawdzięcza ona znaczną część swego wyzwolenia i tryumfu.

Do owych uniesień, kiedy naga hetera, wychodząc z morza, udawała Wenerę, rodzącą się z piany, a lud przypatrywał się temu widokowi z zachwytem — do tych czasów nie wrócimy. Ale i to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ciało odzyska wznacznej części swoje utracone prawa. Mimo wszystkich hołdów dla „ducha," wieki średnie i nowe nie ustrzegły się szałów dla kobiety pięknej. Dziś zaś cała apologia „zdrowego ciała," w którem ma siedzieć „zdrowy duch," jest odradzaniem się pogaństwa. „Grzesznej powłoki" nie zrzucimy z siebie nigdy, nie wyzujemy się więc z estetycznych wzruszeń zmysłowych, a piękna kobieta pozostanie zawsze najszczytniejszym ich przedmiotem. W doskonałości swojej jest ona wyższą, niż rzeźba, niż malarstwo, niż jakikolwiek utwór sztu-

ki. Brzydka należy istotnie do demokratycznego żywiołu natury, ale żywioły demokratyczne zwyciężają tylko o tyle, o ile stają się nową arystokracyą — w greckiem znaczeniu tego słowa. Estetycznie arystokracyą kobiety brzydkie nie będą, podobnie jak kury, chociażby niosły trzy razy dziennie jajka, nie będą co do opierzenia wyżej cenione od bezużytecznych pawic. A cóż dopiero gdy kobieta piękna zacznie być ukształconą, dobrą, myślącą, jaką już dziś nieraz bywa? Pozostanie niezwyciężoną arystokratką natury, ubezpieczoną przeciw zamachom demokracyi brzydkich. P. Bogusławski kazał swemu Niunowi zastrzelić się dla Brutty; jeśli taki Niuno kiedykolwiek istniał, to zabijał się chyba z niepokonanej a tłumionej odrazy. Można z Bruttą żyć, mieć dzieci, szanować ją, cenić, ale szaleć, zabijać się — tego ona zrzec się musi, chociażby najbardziej pragnęła. Wzbudzanie obłędów pozostanie monopolem Belli.

Nasz stan czwarty zwrócił uwagę agentów zarządu prawodawczego w Sztokolmie, który odrysował go w swem sprawozdaniu, przytoczonem przez *Kur. warsz.* Oględziny bezstronnych oczu cudzych są zawsze pouczające. Co też dojrzały u nas oczy szwedzkie? „Warszawa jest jedynem (!) w Europie miastem, gdzie kapitaliści robią aferę (?), spekulując na mieszkaniach robotników. Najlukratywniejsze(?) posesye ciągną zyski z mieszkań, stawianych dla klasy wyrobniczej. Wystawcie sobie gnojuiki po strychach i suterenach, istne lupanarya (?), mieszczące każde po kilka rodzin, skazanych na powolne zatruwanie siebie i drugich. Kurniki tego rodzaju przynoszą właścicielom po 15 koron tygodniowo; to też obrót roczny w tych domach, budowanych licho, przenosi często kapitał zakładowy.“

Autor, który spotykał u nas dużo niemców, włochów, anglików, zadaje sobie pytanie: gdzie się podziały miejscowe siły robocze, i sądzi, że odpowiedzi szukać trzeba za granicą. „W Hali przy nasypach kolejowych spostrzegłem garstkę poznańczyków; kilku włościan z Królestwa uderzyło mnie ubraniem jaskrawem w Rotterdamie, gdzie pocili się w warsztatach okrętowych. W Ameryce spotykaliśmy całe osady wychodźców, pracujących na roli. A tymczasem w kraju własnym braknie robotnika tak, iż potrzeba go sprowadzać. Okoliczność ta przypomina fakt inny, do niego podobny, iż w Królestwie Polskiem jest łatwiej o pomarańczę niż o jabłko rodzime.“

Na poparcie tych słów przytoczymy inny dowód. W maju r. z. — jak donosi *Kuryer codz.* — agenci holenderscy namówili w Królestwie garstkę ochotników do wyjazdu na wyspę Jawę. Kilku z nich wróciło, skosztowawszy ziemi obiecanej, a jeden z nich tak pisze: „Przybywszy na miejsce, zamiast wygodnego pomieszczenia, dostaliśmy na mieszkanie zniszczoną stajenkę i trochę słomy. Sago i yer (miejscowy napój), stanowią całe nasze pożywienie. Ciągłe utarczki z miejscowymi mieszkańcami, starającymi się o każdej porze dnia i nocy niszczyć osady holenderskie, wyczerpują nasze siły, a w dodatku febra, upały podzwrotnikowe, męczą nas ciągle. Nazwane szumnie umundurowanie, składa się ze spodni i bluzy z żaglowego płótna, oraz kapelusza trzcinowego. Co się tyczy pensyi, o tej nawet nie marzymy, aby ją otrzymać, gdyż niby za przekroczenia zapisują nam ciągle kary pieniężne.“

Można temu opisowi wierzyć. Niemiec emigruje prawie zawsze z braku pracy, z niemożności utrzymania się w kraju; polak zwykle z chęci osiągnięcia dobrobytu tanim kosztem. Na miejscu postępuje, jak włoski lazaron: gdy syty, nie kiwnie nawet palcem, choćby mu za to sowicie zapłacono i trudzi się tylko w ostateczności. Wyjeżdżając za granicę, ludzi się, że znajdzie królestwo szczęścia, w którem dostanie ziemi urodzajnej, ile zechce, wykopie złota i drogich kamieni, ile nikt z jego ziomków nie widział, a bez mozołu zbierać będzie mannę i przepiórki, spadające z nieba. Dopiero gdy się rozczaruje, gdy pozna całą trudność warunków, gdy uczuje dreszcze nędzy, zaczyna pracować, sprzedaje swe siły tanio i przewyższa innych robotników zarówno wytrwałością, jak i skromnością usiłowań. Oto, dlaczego u nas rąk brak a za granicą znajdują się nasze.

Praca zaledwie zwolna zyskuje u nas prawa obywatelstwa i uznanie jako środek nietylko osobistej, ale i zbiorowej walki o byt. Kiedyś — oby nie za późno — pojmiemy, że nie zasługi historyczne, nie rodowody, nie gotowość do spożywania cudzych płodów, ale nieustanne wysiłki energii dają dobrobyt, szczęście i — racyę istnienia. Jeżeli dochody naszego życia ekonomicznego nie wyrównają rozchodom, jeżeli — jak obliczono — będziemy żyli ciągle z kapitału, zbankrutujemy bez względu na wszelkie „konjunktury“ po[li]tyczne. Dziś nie wygrywa wojny ręka uzb[r]ojona, ale pracowita, a najlepszą strategię zawiera ekonomia. Sedan był zwycięztwem drobiazgowem wobec klęski przemysłowej, poniesionej przez niemców na wystawie w Fladelfii. Zrozumiał to dobrze człowiek, który wiele rzeczy przed innymi rozumie — Bismark: mając olbrzymią armię, nie prowadzi wojen orężnych, ale ekonomiczne — a jeśli te wygra, zyska więcej, niż kilka prowincyj i miliardów.

Wobec wielkiego ruchu w tym kierunku nasz może być tylko krzątaniną mrówek, ale każdy jej postęp ma dla mrowiska wartość. Zapisujemy też najdrobniejszy. Gazety znowu donoszą, że malarze nasi postanowili zużytkować swe zdolności w ozdobach przedmiotów galanteryi, sprowadzanych dotąd wyłącznie z zagranicy. Rozumny i użyteczny pomysł, który nas może wyzwoli od płacenia cząstki haraczu cudzej pracy i zręczności. Wystawa szkiców dowiodła, że tego rodzaju wyroby mogą liczyć na chętny pokup. Dlaczego więc nie zająć pola, które łatwo da zysk jednostkom i korzyść ogółowi? Dlaczego byle wachlarz, przycisk, filiżanka mają być ozdabiane dla nas przez niemców i francuzów? Ruszajmy się do kaduka, bo nam dzieci nie podziękują za to martwe życie nabożnych fakirów!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przypowieść o kolonii czeskiej i kolonie polskie. — Nierozwinięta czy stracona zdolność. — Sąd nad swoimi. — Banki jako kasyerzy lichwiarzów. — Lekarstwo na zatwardziałość serwitutową. — Próżniactwo obok nędzy. — Akuszerki wiejskie. — Zwykła zwrotka.

„Istniejąca w okolicach Dubna kolonia czeska coraz więcej rozwija się, ale nie łączy się z ludnością miejscową; czesi posiadają tu swe gospodarstwa rolne, browary, z których piwo rozchodzi się itd.“ Wiadomo, że niemal każda nowina prowincyonalna powtarza się u nas stereotypowo we wszystkich dziennikach. Otóż ile razy otworzyłem jakieś pismo i zacząłem czytać: „istniejąca w okolicach Dubna kolonia czeska“ — ogarniał mnie taki gniew, że omal nie zawołałem: królestwo za gazetę, w której niema nic o kolonii czeskiej pod Dubnem! A nie sądzcie, ażeby mnie rozdrażniało ciągłe powtarzanie tych samych słów, gdyż nie darmo w dzieciństwie opowiadają nam nieskończoną ilość razy o czapli na wysokich nogach, a ktoby miał podobne wstręty, musiałby zrzec się czytania połowy prasy. Nie, tylko przypominała mi się ciągle ta fatalna myśl: niemcy, francuzi, czesi, anglicy, wszystkie narody, tworząc z odłamków swoich wyspy śród rozmaitych żywiołów obcych, trzymają się w łączności z sobą i swoją ojczyzną, wytwarzają samodzielne ogniska cywilizacyi rodzimej, są rzeczywiście koloniami, tylko my, my jedni roztapiamy się jak sól we wszystkiem. Żeby to można kiedy przeczytać: istniejąca w okolicach X kolonia polska rozwija się, ma wzorowe gospodarstwa, browary itd.“ Gdzie tam! Jeśli gdzie usiądzie kępka naszych ziomków, to zawsze słychać, że każda jej gałąź rośnie w inną stronę a wszystkie schną szybko. Nie mieliśmy, nie mamy i podobno nigdy mieć nie będziemy talentu organizacyjnego. Napiszemy piękne poematy, namalujemy nieśmiertelne obrazy, może nawet zrobimy ważne odkrycia w nauce, ale w mniejszym i większym zakresie organicznej całości nie utworzymy chyba nigdy. Dziś jedno maleńkie miasteczko nie może się zgodzić na obsadę ról w teatrze amatorskim — a cóż to mówić dopiero o połączeniach bardziej złożonych!

Nie nadchodzą też do nas doniesienia tej kategoryi prawie nigdy. Najwyżej słyszymy, że gdzieś tam — jak np. obecnie w Sandomierskiem — powstaje cukrownia spółkowa, co, rozumie się, nie przeszkadza, ażeby po zbudowaniu fabryki akcyonaryusze zaczęli chodzić do Sasa i lasa, dopóki nie znajdzie się żyd lub niemiec, który ich na jedną drogę skieruje.

Ile razy prasa liberalna zarzuci ziemianom brak energii, nieudolność lub lekceważenie spraw gminnych, natychmiast w tej sferze rodzi się szmer niezasłużenie doznanej krzywdy, który pobudza jakiś „organ większej własności“ do zbrojnego wystąpienia w obronie oskarżonych. Słyszymy wtedy znaną pieśń „o zupełnej nieznajomości stosunków wiejskich,“ o mieszczuchach, wysysających z palca krzykliwą socyologię itd. Dość wszakże zostawić ową „własność większą,“ i jej „organa“ w spokoju a pomału zanucą sobie ten sam gorzki żal, który ich z przeciwnej strony tak oburzał. Ile by to było gwałtu, gdyby następujące uwagi wypowiedziała *Prawda*, a nie... *Wiek*:

„Słyszałem nieraz głosy, z urąganiem odzywające się o dygnitarzach gminnych, o patryotyzmie powiatowym; były to jednak najczęściej zdania ludzi, którzy, nic nie robiąc, krytykować tylko umieją; a proszę mi wierzyć, że właśnie w zakresie gminy i powiatu bardzo wiele dobrego zrobić można wpływem rozsądnym i inteligentnym. Znam *wielu* obywateli ziemskich, nieprzyjmujących nigdy udziału w żadnych zebraniach gminnych. Wychodzą oni z zasady, że tam, gdzie głos kilkunastowłókowego właściciela tyle znaczy, co i trzymorgowego chłopka, tam oni są niepotrzebni. Fałszywa to jest zasada, z doświadczenia powiedzieć mogę, że więcej znaczy jeden głos właściciela większej posiadłości, niż sto innych; tak też zwykle wszelkie kwestye się załatwiają na podobnych zebraniach, jak ktoś z nas je przedstawi. Naturalnie trzeba koniecznie *wyrobić sobie to zaufanie* u ludzi, a zdobywa się je *ciągłem* braniem udziału w sprawach ich obchodzących.

Jest to niezaprzeczony pewnik, że we wszystkich gminach, w których sprawach biorą udział obywatele ziemscy, składki są daleko mniejsze (?) i nadużyć żadnych niema. Jeremiady więc, tak często spotykać się dające w różnych korespondencyach do gazet, są *niewłaś[ciw]e*, gdyż jeżeli gdzie źle się dzieje, to uderzmy się w piersi, że *myśmy przeważnie temu winni*.“

To samo, słowo w słowo, zamieszczone nie w dzienniku, który każdego księdza nazywa czcigodnym, a każdego obywatela przedstawicielem narodu — byłoby wierutnem kłamstwem. Ale ponieważ miejsce

zdobi... rozum, więc on na tem miejscu wygląda dobrze, przyzwoicie.

Korespondent, rozbierajac dalej biedę szlachecką, wskazuje najboleśniejszy jej punkt — brak kredytu. „My — powiada on — nie mamy prawie żadnego; nie można bowiem nazywać kredytem uczynności Berka na 2% miesięcznie, ani nawet pożyczki hypotecznej na 10% rocznie; gospodarstwo bowiem w dzisiejszych czasach nie przynosi nam 5 do 7%. Pożyczki Banku Polskiego, Wzajemnego kredytu, Handlowego itd., są przystępne jedynie dla przemysłowców żydów, a nigdy dla nas. Najtańszy kredyt byłby w Banku Polskim, ale przed kilkoma laty, będąc także akredytowany w tym Banku, miałem sposobność przekonać się o takich faktach: obywatelowi ziemskiemu, którego majątek liczyć można było na czysto około 80,000 rs., przyznano kredytu 1,000 rs.; drugiemu, mającemu około 35,000 rs. czystego majątku, udzielono kredytu 600 rs., gdy tymczasem żydek z Ciechanowa, handlujący zbożem, za którego cały osobisty majątek nie dałbym 100 rubli, dostał kredytu 3,000. Winna temu fałszywa zasada, jaką się Bank Polski kieruje w udzielaniu pożyczek; skoro bowiem p. X. obywatel udaje się do niego o udzielenie kredytu, wówczas Bank ściąga o panu X. opinie od sąsiadujących z nim handlujących Berka, Szmula itd.; ci naturalnie w swoim własnym interesie dają opinie jak najgorsze, gdyż jeśli p. X. nie dostanie potrzebnych mu koniecznie pieniędzy z Banku na 6%, będzie zmuszony wziąść na 24% od tychże samych, co o nim opiniowali i te same pieniądze, które oni dostaną z Banku na 6%.“ Nie przyznając „taniemu kredytowi“ własności tego powszechnego lekarstwa, za jakie uchodzi w oczach ziemian, przyznać musimy, że korespondent trafia w słabą istotnie stronę naszych instytucyj finansowych, które dają lichwiarzowi środek do wyzysku, a nie dają pracowitemu człowiekowi środka do ratunku. Trzeba ciągle pamiętać o tem, że lichwiarz zwykle nie jest kapitalistą, który niszczy potrzebujących pieniędzmi własnemi, ale szczęśliwym dłużnikiem banków, które mu otwierają kredyt na przedsiębiorstwa ekonomicznego rozboju.

Zeszłego roku wspominaliśmy na tem miejscu o pewnym dowcipnym ziemianinie, który sutą dla dzieci chłopskich choinką uwolnił się od serwitutów. Widocznie jednak sposób ten nie wszędzie skutkował, bo wynaleziono inny — w powiecie bialskim. Posiadacz pewnej wioski daremnie próbował układami pozbyć się dotkliwego ciężaru. Zażył tedy upartych włościan zinnej strony: pozywał ich do sądu o wszelkie naruszenie swojej własności a o powody na wsi nie trudno. Kiedy przysądzona mu wyrokami suma dosięgła 8,000 rs. (ileż to musiało być procesów!), rozpoczął egzekucyę należności i nie odstąpił dopóty, aż włościanie zgodzili się na jego warunki w zamianie serwitutów. „Wypadek ten w okolicy wywarł bardzo dobry skutek“— zapewnia *Kur. warsz.* — a my to nowe lekarstwo polecamy do apteczki szlacheckiej. Szanowny p. Pielesz, krzywisz się na nie? My go nie wynaleźliśmy.

Może to i prawda, że my jesteśmy ulepieni z odmiennej gliny i ulegamy odmiennym prawom natury. Posiadamy np. tłumy szukających pracy i obok nich tłumy niechcących pracować. Fabryki nie dają zajęć, ale zażądajcie od robotnika bezrobotnego, któremu płacono 50 kop. dziennie, ażeby wam nanosił wody, i przyrzeczcie mu 2 rs. — nie zgodzi się, chociaż sam głodny i dzieciom niema co dać jeść.

Akuszerki warszawskie muszą dopełniać swe dochody wynagrodzeniem za podrzucanie dzieci, umieszczanie ich w Szpitalu Dzieciątka Jezus lub za stręczenie mamek, ale — jak to już dawniej zauważyliśmy — ledwie setna z najbiedniejszych osiada na wsi — na wsi? — nigdy! — w miasteczku. Większość woli żyć w nędzy, aby tylko w stolicy! Tymczasem praktyka wiejska (widać jeszcze niemcy o niej się nie dowiedzieli) dla akuszerek, dla kobiet ubogich i wiedzą skromnie opatrzonych, przedstawia niezmiernie łatwe pole do zarobków. A zgroza czytać, co się dzieje z nieszczęśliwemi położnicami, pozbawionemi opieki. Trzebaż jeszcze tortury? „Józef Walerczak — opowiada *Kur. codz.* — włościanin (we wsi Siennieńska Wola, pow. słucki), zawezwał do swej żony mieszkankę tejże wsi Łucyę Madej, uchodzącą za akuszerkę, która, nie mając najmniejszego wyobrażenia o umiejętnem obejściu się, urwała dziecku rękę, pozbawiając je przez to życia. Zrozpaczony Walerczak przywiózł następnie włościankę z sąsiedniej wsi Aleksandrowa, Wiktoryę Sobulak, uważaną między ludem wiejskim również za lekarkę, oraz włościanina Stanisława Cieleckiego. Ci nowi operatorzy, widząc, że płód już nie żyje, silnem szarpnięciem wyrwali tułów nieżywego dziecka, prócz głowy, którą wydobyli wreszcie żelaznymi haczykami. Po tej barbarzyńskiej operacyi, Maryanna Walerczak w okropnych męczarniach życie skończyła.“

Chyba to wymowne!

Czytelnicy czekają na zwykłą zwrotkę. Spieszę więc dodać, że rozboje i kradzieże nie zawiodły w tygodniu ubiegłym zwykłych nadziej. Z główniejszych czynów zapisać winniśmy napad na młyn w Szczurku (Rawskie), zamordowanie w lesie folwarku Kowalewka (Płockie) stróża itp.

Również instytucya pośredników pokojowych między złodziejami a okradzionymi dała chwalebny znak życia. W osadzie Gliniany (pow. opatowski) skradziono włościaninowi cztery woły. Podano mu jednak nić Aryadny, która go zaprowadziła do pewnego żydka o tyle poczciwego, że za 100 rs. woły zwrócił. Nie jest to wypadek odosobniony; takie układy odbywają się ciągle i wszędzie. I to jest „porządek społeczny!“

A. C.

Prawit. Wiestnik ogłasza przymusową sprzedaż 21 dóbr ziemskich w gub. wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, które—jak wiadomo— nabywać mogą tylko osoby pochodzenia rosyjskiego, korzystające z wielu ulg, a nadewszystko uwolnione od opłaty stempla.

Siedlce. Zjazd sędziów pokoju, rozpatrując z apelacyi sprawę uczniów, oskarżonych o wybicie szyb nadzorcy szkolnemu, uwolnił od odpowiedzialności nawet tego, którego pierwsza instancya skazała na 25 rs. kary.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 stycznia.

Nakoniec stał się wypadek wielkiego politycznego znaczenia: parlament niemiecki wyznaczył 180,000 marek na koszta utrzymania parowca dla gubernatora świeżych zdobyczy afrykańskich. Fakt ten, mający pozory bardzo skromne, posiada jednak szczególną wagę. Jest on zapowiedzią donośnego zwrotu w polityce niemieckiej, która dotąd ograniczała się na działaniach i łupach wewnątrz Europy, a która teraz staje do walki z mocarstwami kolonizacyjnemi: Anglią, Francyą, Hiszpanią itd. Zrozumieli to dobrze zarówno ci posłowie, którzy podczas obrad milczeli, jak i ci, którzy nieco otworzyli swoje zaniepokojone serca. A zaisto można się niepokoić. Pierwszy chrzest krwawy, jaki niemcy odebrali w starciu ze zbuntowaną ludnością murzyńską, pierwsze 180,000 marek, które przyznano gubernatorowi nowych posiadłości — to nie cała ofiara, to zapowiedź nieskończonego szeregu ofiar z krwi i pieniędzy. to wstęp do kosztownych przedsięwzięć, które długo pochłaniać będą siły Niemiec a nie dadzą im żadnej korzyści. Bo zważmy, że państwo, występujące na tem nowem polu, nie jest jeszcze dość zasobnem w środki dla wytrzymania współzawodnictwa z innemi. Niemcy nie posiadają ani floty, ani całego aparatu kolonizacyjnego Anglii i Francyi, a w Europie muszą ubezpieczać się ciągle olbrzymią armią. Pewną też ulgę sprawił sejmowi ks. Bismark zapewnieniem, że myśli tylko o rozciągnięciu opieki nad istniejącemi koloniami niemieckiemi, nie zaś o zaborach i awanturach. Przysłowie wszakże powiada: „wer *A* sagt, muss auch *B* sagen.“ Pierwszy krok sprowadzi następne i Niemcy ani się spostrzegą, jak ugrzęzną w trzęsawiskach tonkińskich i egipskich. Ich usprawiedliwioną obawę powiększa myśl, że ten Bismark, który rozpoczął niebezpieczną operacyę, jest siedemdziesięcioletnim starcem, długo nie pożyje, i zostawi swojemu mniej zdolnemu następcy potargane pasmo spraw politycznych. Natomiast Europa cieszyć się powinna, że niemcy znaleźli sobie ujście za morzami.

Wojna francusko-chińska ślimaczy się i chyba nowy minister wojny Leval, który ma być dzielnym i energicznym żołnierzem, przyspieszy jej powolne tempo. Kraj zaczyna się już niecierpliwić — i słusznie; wolałby on już uciążliwsze natężenie działań, niż tę szarpaninę bez końca, bez nadziei dojścia do jakiegokolwiek celu.

Toż samo życzenie powtarzali sobie zapewne na rok nowy anglicy, którym kłopoty egipskie już się przejadły. Wprawdzie Gordon napisał na karteczce: *all right*, lecz licha tam *right*, gdy ani finansowo, ani wojennie rady sobie dać nie można. Coraz uparciej też ponawia się pogłoska, że Gladstone chce ustąpić, że chorobą przygotowuje sobie drogę odwrotu.

Frankfurt n. M. Radcę policyjnego Rumpfa, który głównie przyczynił się do odkrycia spisku niederwaldzkiego, zabito przed mieszkaniem. Mordercy zdołali umknąć.

Londyn. Zatarg o Koreę został załatwiony między Chinami a Japonią.

CUDZE GŁOSY.

W sprawie posła Kozłowskiego, której główne punkty z przebiegu we Lwowie zaznaczaliśmy, Koło polskie wydało ogłoszony w *Dzien. pols.* wyrok. Po szczegółowem przytoczeniu stwierdzonych mu okoliczności, zamyka ono swój wywód następującymi wnioskami:

„Oceniając przedstawiony powyżej stan sprawy i rozpatrując stosunek p. Kozłowskiego do Länderbanku w sprawie interesu budowy galicyjskiej kolei Transwersalnej, komisya zadała sobie następujące dwa pytania:

Po pierwsze: Czy działanie p. Kozłowskiego co do oddania budowy galicyjskiej kolei Transwersalnej było skierowane przeciwko intencyom Koła w tym względzie, tudzież przeciw interesom kraju?

Powtóre: Czy p. Kozłowski wyzyskał swoje wpływy poselskie na korzyść prywatną?

W aktach, które komisyi udzielone zostały, nie ma podstawy, któraby do wydania twierdzącej odpowiedzi na którekolwiek z powyższych pytań upoważniała. Nie ma tam mianowicie śladu, iżby p. Kozłowski w sprawie przedsiębiorstwa kolei Transwersalnej, prócz pomocy facho-

wej, jakąkolwiek inną oddał Länderbankowi usługę, co do której wchodziłby w grę poselski jego charakter; nie ma również żadnej wskazówki do twierdzenia, iżby p. Kozłowski przedtem, zanim ministerstwo handlu postanowiło oddać budowę tej kolei w przedsiębiorstwo generalne, uczynił był jakikolwiekbądź krok na korzyść takiego budowania.

W tej mierze pozostaje więc tylko do ocenienia zachowanie się p. Kozłowskiego w Kole, w deputacyi Koła do ministerstwa, tudzież w izbowej komisyi i w samej Izbie, które to postępowanie zmierzało zawsze i widocznie do tego, ażeby budowa rzeczonej kolei galicyjskiej rozdaną była na losy, a nie w przedsiębiorstwie generalnem.

Dążeniu temu p. Kozłowski dał wyraz w swem izbowem sprawozdaniu, tudzież przy rozprawie w wydziale kolejowym i w Izbie poselskiej.

Komisya nie może jednak zakończyć powyższego sprawozdania, nie uczyniwszy przy tej sposobności uwagi ogólnej i zasadniczej, że podejmowanie pewnych czynności, chociażby one same w sobie były legalne albo zawodowe, prowadzić może przy równoczesnem wykonywaniu mandatu poselskiego do trudnych zawikłań i ciężkich następstw."

Jak wiadomo, sprawę tę ma rozpatrzyć komisya wiedeńskiej Rady państwa: pozostaje więc jeszcze jedna instancya, która bodajby już raz zakończyła ten przykry proces i ostatecznie albo potwierdziła wyrok Koła polskiego, albo obaliła go dowodami, ale *dowodami*.

Młodzież krakowska. Ironią losu czy raczej prawem dziejowem reakcya zazwyczaj najpierw powstaje tam, gdzie się zło najsilniej zakorzeni. Młodzież uniwersytetu krakowskiego objawia coraz więcej żywotności i ruchu. 29 grudnia wręczyli jej delegaci M. Bałuckiemu adres. Za *N. Reformą* podajemy kilka ustępów opuszczając oczywiście napuszyste zwroty, których mogła młodzież także oszczędzić jubilatowi:

„Przed 25 laty, w chwili przełomu pojęć i w przededniu walki pierwszy i jedyny (!) przeciwstawiłeś świat młodych, budzących się do życia kierunków światowi starych dogmatów. Jako śpiewak twardej pracy i trudu ducha (?), piętnujący nepotyzm i wołający głosem Tyrteusza do czynu, nie opuściłeś przez całe ćwierć wieku Twej drogi, szedłeś zawsze z potrzebami chwili i postępu, nie wyprzedzając ich gwoli mrzonek (tak! trzeba i dyabłu zapalić świeczkę) ale i nie ociągając się dla tych „wyższych względów" i dla tego „rządu moralnego," które tyle tęgich umysłów powodami rzekomej karności pogrążyły w nieczynność i oddały w usługi koteryi."

Wedle *Kuryera lwowskiego* nie brakło i tym razem, jak z okazyi jubileuszu T. T. Jeża, wyższych wpływów, które chciały powstrzymać młodzież od „nierozsądnego" kroku. „Niezadowolenie to znalazło swój oddźwięk i pośród młodzieży — bo na 1000 studentów uniwersytetu a przeszło 400 podpisanych znalazło się 5 (!) którzy oświadczyli, że podpisy swoje cofają i protestują przeciw treści adresu."

Ciekawy dla charakterystyki dążeń rusińskich partyi galicyjskich jest ustęp, który wyjmujemy z wstępnego artykułu *Diła* p. t. „Naszym przyjaciołom:"

„Polska prasa (*Gaz. pol. Kuryer pozn.*) nie chce potwierdzić istnienia hegemonii i przewagi polaków nad rusinami w Galicyi, choć codziennie wpadają one w oczy każdego niezaślepionego szowinizmem polskiej szlachetczyzny i ultramontaństwa. Przeciw hegemonii i przewadze polaków nad nami protestujemy przy każdej sposobności i nie przestaniemy protestować, dopóki polacy w Rusi halickiej nie poznają, że oni tutaj są elementem napływowym („zachożij element"), składającym się głównie z mikroskopijnych oaz szlacheckich rozsianych wśród szerokiego obszaru ruskiego narodu, oraz z biurokracyi — i dopóki odpowiednio temu nie ukorzą się przed właścicielem ziemi i nie oddadzą pochwyconego steru w ręce naturalnego sternika — ruskiego narodu. *Do tej chwili będziemy zawsze z nimi walczyć na stopie wojennej w naszej ziemi*, chociaż usilnie bolejemy nad zatratą słowiańsko-polskiej ziemi pod naporem germanizacyi w Poznańskiem."

Nie sądzimy, ażeby ta „wojenna stopa" była korzystna dla obu narodowości.

Diło wzywa wszystkich rusinów dla połączenia sił wobec nadchodzących wyborów do Rady państwa. W artykule „Nie traćmy równowagi" zwraca uwagę na groźne położenie:

„Od czasu podróży Naumowicza i Płoszczańskiego do Rosyi, rozpoczęto napadać na rusinów galicyjskich nietylko w prasie polskiej, ale węgierskiej i rzymskiej tak samo, jak przed lat temu trzy przed i podczas procesu o zdradę stanu. Jak wtedy gazety wołały, że cała galicyjska Ruś „podminowana carosławiem, prawosławiem i rublami" tak samo wołają i teraz gazety nietylko polskie, ale i urzędowy węgierski *Nemzet* rzymska *La Voce* i inne. W ślad za głosem rządowego *Nemzetu* odjęto *Słowu* debit w krajach węgierskiej korony i to na podstawie uchwały rady ministrów, odbywającej się pod przewodnictwem cesarza, a motywa, przytoczone w tej uchwale, mają niepospolite znaczenie dla rusinów galicyjskich. Polskie dzienniki przypominają sobie znów piękne dni tryumfu z czasów procesu o zdradę stanu, kiedy to one dyktowały: usunąć metropolitę! Malinowskiego i Żukowskiego dymisyonować, duchowieństwo rusińskie oddać pod nadzór żandarmów! — dziś znowu *Gazeta nar.*, ten bezprzykładny wróg wszystkiego co ruskie, gardłuje: „Szaszkiewicza i Juzyczyńskiego w Przemyślu uwolnić co rychlej! „Narodny Dom" odebrać, bo cesarz darował go Rusinom miasta Lwowa a nie russofilskiej frakcyi. (Magistrat miasta Lwowa istotnie pracuje obecnie nad wytoczeniem procesu o „Dom Narodowy")."

Wobec takiego groźnego położenia nawołuje *Diło*, ażeby stronnictwa ruskie przy każdej sposobności nie obrzucały się wymysłami lecz dążyły do „równowagi i konsolidacyi sił wobec wrogów" i postępowały tak, jak tego wymaga „rozum polityczny, uchwały 2 wieców rusińskich a wreszcie sumienie prawdziwego Rusina."

PRASA ROSYJSKA.

Nowosti dotykają „sprawy rosyjskiej" na Litwie:

„W *Niedieli* ukazał się list „przypadkowy" z Litwy, napisany widocznie przez człowieka myślącego, bezstronnego i dobrze znającego kraj. Autor mówi przeważnie o losach sprawy rosyjskiej w guberniach „północno-zachodnich". Wiadomo, że sprawa ta rozpoczęła się tam niespodziewanie z natchnienia biuralistycznego. — „Przy Murawjowie", — brzmi urywek z listu, — „kraj chciano we 24 godziny uczynić rosyjskim". Sądzono, że dosyć jest wyrzec: „Stań się!" ażeby wszystko się stało. Tymczasem pokazało się, że to rzecz wcale niełatwa: dziejowe błędy lat dziesiątków sprostowane być mogą też w ciągu dziesięcioleci, nie zaś we 24 godziny. Biuro zarządu wileńskiego codziennie wyłania z siebie setki odezw do wszelkich podwładnych i niepodwładnych instytucyj tudzież osób, i tyle tego... Niechno tylko jakie pijaczysko, np. były pisarz gminny, zwolniony za Potapowa, jako pijak, od służby, uda się w Wilnie do urzędu jakiego z prośbą o posadę, niby dla człowieka, rzekomo wyrzuconego skutkiem intryg polaków, zaraz się pisze z dziesięć odezw i tyleż zapytań: dlaczego, zaco, kiedy i przez kogo zwolniono tego pijaka... Jesteśmy świadkami tego wszystkiego i zdumiewamy się, jak mogą ludzie pisać tak dużo!... Ale, jak wielomówność nie zbawi, tak i to wielopisarstwo nie wyda, ma się rozumieć, żadnych owoców... Sprawa rosyjska nie posuwa się naprzód przez to ani o krok jeden i wszystko trwa w poprzednim, nader niekorzystnym stanie. Szczególniej smutnem jest to — ubolewają *Nowosti* — że nawet sprawa prawosławia, głęboko zakorzeniona śród miejscowej ludności tego oddawna rosyjskiego kraju, znajduje się również w niekorzystnym stanie".

Petersb. Wiedomosti znalazły trufel.

„Kiedy zdarzy się sposobność zwrócenia uwagi na dziwne sympatye i antypatye naszych tak zw. „postępowych" czasopism, wówczas w odpowiedzi słyszeć się dają zapewnienia o patryotyzmie i utyskiwania na niesprawiedliwość zarzutów, a tymczasem ten dziwny kierunek upodobań naszej kosmopolitycznej prasy zwraca na siebie uwagę nawet za granicą. Dziś w *Nord. Allg. Zeit.*, organie ks. Bismarka, czytamy:

„W czasopiśmie rosyjskiem *Russkaja myśl* wystąpił pisarz, na którego nie bez racyi wskazują jako na odrodzonego Skobelewa, i który pisze waryacye na temat: niemiec — to wróg. Pismo to wychodzi w Moskwie pod redakcyą liberalnego przyjaciela polaków p. Jurjewa, i wygląda jakby skrócony przedruk wychodzącego w Petersburgu *Wiestnika Jewropy*, miesięcznika polityczno-literackiego, redagowanego przez znanego pisarza polskiego pochodzenia Stasiulewicza, który w swojem piśmie prowadzi dość dokładną kronikę polskiego życia w Rosyi. *Russką myśl* właściwiej należałoby nazywać *Polską myślą*."

Mówią, że z boku lepiej się widzi, a sympatye i antypatye naszych kosmopolitów występują tak plastycznie, że nic dziwnego, iż je dostrzegają nawet z zagranicy. Wzruszająca jednomyślność istniejąca między *Russką myślą* a *Wiestnikiem Jewropy* tak się rzuca w oczy, że łatwo mogła dać powód gazecie niemieckiej do uważania pierwszego z tych czasopism za „skrócony przedruk" drugiego. Przysłowie powiada: „szydła w worku nie ukryjesz", a widocznie szydło ukrywane w redakcyach *Russkiej myśli* i *Wiestnika Jewropy* musi być wielkiem, skoro je zobaczono aż w Berlinie."

Szydło to rzeczywiście wylazło, ale z worka p. Pindtera. Jest ono nam doskonale znane i dlatego to nas nie dziwi.

Kijewlanin żąda wycięcia nowotworu ukrainofilskiego:

„Uważamy — powiada on — ukrainofilstwo za chorobę i to za chorobę wcale nie lekką. Widzimy, iż z roku na rok choroba ta nietylko nie słabnie, lecz wciąż się wzmaga, znajdując grunt odpowiedni w politycznej obojętności jednych, ślepocie drugich, lekkomyślności trzecich. Widzimy, iż siły wrogie, przeszedłszy wiekową szkołę intrygi politycznej i spisku, mają w tem interes, ażeby podtrzymywać tę chorobę i wciąż ją podsycać. Nakoniec wyznajemy, iż nawet przy prawidłowej dyagnozie i uważnem badaniu choroby, kuracya jej przedstawia trudność wielką.

Nie podlega dla nas wątpliwości jedna tylko prawda: energicznymi środkami i stanowczą operacyą równie trudno osiągnąć pożądane rezultaty jak i zasadą: „laissez-faire." W wypadku tym właściwym tylko systemat stale przyjęty, wysoce konsekwentny, który stosowany przez cały szereg lat mógłby — być może — usunąć zastarzałe, chroniczne cierpienie."

KRONIKA BIEŻĄCA.

J. Vrchlicki otrzymał pierwszą nagrodę ze skarbu państwa w Wiedniu, z przeznaczonych dla znakomitych artystów i poetów. *Senat* wyjaśnił, iż podatek stemplowy od akcyj, udziałów, obligacyj, listów zastawnych, przy wypuszczaniu i zmianie, przy wydawaniu nowych kuponów, ponosić powinno całkowicie wypuszczające Towarzystwo, nie zaś nabywający. Płacenie podatków winno być dokonywanem przed wypuszczeniem papierów, i żadne wynagrodzenie przez towarzystwo żądanem być nie może.

Nowe opłaty. Prasa rosyjska zapowiada, że iż z nowym rokiem 1885 wprowadzonem będzie dodatkowe opodatkowanie bankowych i akcyjnych przedsiębiorstw z czystego dochodu 3%, a dla innych przedsięwzięć

handlowych i przemysłowych inny rozkład podatków, z wyjątkiem: płacących akcyzę od fabryk i zakładów przemysłowych, co do których obecnie rozpatrywane są przepisy pobierania opłat patentowych.

Projektowanem w r. b. jest podwyższyć opłaty celne na przywożone z zagranicy następujące towary: śledzie solone, herbatę czarną i cegiełkową, wina niemusujące w beczkach, musujące w butelkach, jedwab przędzony farbowany i niefarbowany, oliwę drzewną i inne nie wymienione po szczególe w taryfie tłuste oleje roślinne.

Towarzystwo nadzoru kotłów parowych, którego projekt narodził się w Łodzi, ma być zatwierdzone i polecone w całem państwie.

Szkoła górnicza tedy, jak wyjaśnia w pismach p. Choroszewski z Suchedniowa, ma powstać z ofiary K. Walickiego (wynoszącej dziś 40,387 rs. k. 2) oraz ze składek przemysłowców górniczych. Będzie to zakład średni, kształcący sztygarów i dozorców hutniczych, a nie w Warszawie, lecz w Dąbrowie.

Regulacya Wisły — ale nie u nas. Według *Polit. Corr.* rząd pruski oświadczył gotowość do udziału w regulacyi Wisły wzdłuż Szlązka i Galicyi wspólnie z Austryą. Zbierze się komisya austryacko-niemiecka, celem ułożenia preliminarza kosztów. Do komisyi tej powołani zostaną ze strony Austryi radcy techniczni namiestnictwa lwowskiego i cieszyńskiego.

Projekt ochrony lasów, wygotowany już ostatecznie ma być wniesiony do rady państwa. W liczbie środków ochronnych proponuje dozwalanie wyrębywania lasu pod warunkiem jednoczesnego obsiewania ogołoconych przestrzeni. Za pomyślny stan i dobrą hodowlę lasów wyznaczone będą nagrody.

Konkurs. Towarzystwo farmaceutyczne zawiadamia powtórnie, iż wyznaczyło sumę rs. 150 na nagrodę za pracę naukową oryginalną na następujących warunkach:

1) Nagroda przyznaną zostanie za najlepszą pracę w języku polskim z dziedziny farmacyi lub nauk przyrodzonych, nie mniejszych rozmiarów, jak 3 arkusze druku. 2) Mogą się ubiegać farmaceuci urodzeni i zamieszkali w Król. Polskiem, bez względu na stopień naukowy. 3) Pracę konkursową, złożoną w rękopisie, tow. farmaceutyczne ogłosi drukiem, swoim nakładem i zajmie się ułatwieniem sprzedaży książki. Dochód stąd osiągnięty przeznaczony zostanie na nagrodę za nową pracę konkursową. 4) Rękopisy winny być złożone na ręce Sekretarza Tow. Farm. przed d. 1 stycznia 1887 r.

Komisya, wyznaczona do określenia liczby osób, mogących swobodnie bawić się w salach balowych Ratusza, po obliczeniu ich powierzchni sal, orzekła: iż na maskarady można dopuszczać po pięć osób na sążeń kwadratowy powierzchni, a zatem ogółem 1,500 osób. Co do koncertów, odczytów i innych popisów, komisya postanowiła miejsce stojące zupełnie znieść, a natomiast urządzić krzesła pod kolumnami z uwzględnieniem dobrego z nich widoku na estradę. Sporządzono też odpowiedni plan, w którym liczbę miejsc oznaczono na 666 osób. Też same względy zastosowano do miejsc na galeryach, i ograniczono ich liczbę do 200 siedzących i 175 stojących.

Bibliografia polska. W. Wysocki *Las*, Kijów H. George *Postęp i nędza*, przełożyła M. D. Poznań, część I.

— E. Lubowski *Krok dalej*, powieść, tomów trzy Warszawa, Orgelbrand.

— Józef Nussbaum *Rozwój przewodów organów płciowych u owadów*, Lwów.

Na katedrę fizyologii w uniwersytecie krakowskim po G. Piotrowskim ma być powołany Cybulski z Petersburga lub Dogiel z Poznania.

Ministeryum oświaty poleciło, ażeby uczniów wyznania katolickiego uwalniano od lekcyi tylko w święta najważniejsze i to z warunkiem dopełnienia później owych dni straconych.

Ks. Naumowicz z Adolfem Dobrianskim jedzie do Rzymu dla obrony kościoła wschodniego przed papieżem.

Wł. Zagórski (Chochlik) kilkomiesięczny fejletonista *Kur. codziennego* zapowiedział, że opuszcza to stanowisko. Pożegnalna jego kronika jest najlepszą ze wszystkich, jakie w tem piśmie zamieścił. Widać, że pewne natury potrzebują podrażnień, chociażby ze strony *Przeglądu katolickiego*.

Kolej dąbrowska otwartą będzie dla użytku publicznego dopiero w przyszłym miesiącu.

Stary wodociąg warszawski ma być znacznie wzmocniony. Roboty już rozpoczęte.

Egzamin... dorożkarzy odbywać się będzie od 22 stycznia na placu broni.

Teatr. Modrzejewska wystąpiła już kilkakrotnie na scenie warszawskiej. O grze jej pomówimy ogólnie.

— B. Leszczyński przyjęty został powrotnie do teatru warszawskiego.

Malarstwo. *Hołd pruski* Matejki wystawiony obecnie w Pradze.

Trzęsienie ziemi odczuto w Klachcie.

Archiwa. Do głównego archiwum akt dawnych w Warszawie przeniesione będą następujące akta najdawniejsze z Kielc 1) zapiski ziemskie oryginalne wiślickie, zwane „dudkami“ od r. 1385-go; 2) akta grodu Nowo-Korczyńskiego, powiatu wiślickiego, od r. 1703-go, wcześniejsze bowiem zniszczone zostały przez Szwedów; 3) akta ziemskie i grodzkie chęcińskie (*inscriptionum inductorum*) oryginalne, od r. 1428-go, 4) akta ziemskie i grodzkie siewierskie, od r. 1443-go, w księdze drugiej pisane po czesku; 5) akta lelowskie od r. 1787-go, 6) akta dawne 41 miasteczek, położonych w b. gubernii radomskiej (niektóre od r. 1440-o), wreszcie akta poklasztorne miechowskie, beszowskie i olkuskie.

Wybory. Prezesem warszawskiego Towarzystwa lekarskiego na rok 1885 został wybrany przed paru dniami dr. Gepner, wice-prezesem dr. Rogowicz, a sekretarzem czasowym dr. Henryk Nussbaum.

Nową ustawę emerytalną urzędnicy kolei Terespolskiej w głosowaniu odrzucili i pozostali przy starej, która pobiera zbyt niską opłatę i grozi niewypłacalnością kasy.

Zmarli. Józef Łoski, archeolog, badacz dawnej sztuki polskiej—w Warszawie. Niedawno skończył zbiór wizerunków rodziny Sobieskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

E. M. w Olsz. O ile nam wiadomo, składki na stypendyum imienia Boczylińskiego jeszcze nie zamknięte; projekt więc dotąd nie spełniony.

J. M. w N. To nie jest wykład systematyczny dziejów polskich, jak praca Morawskiego, ale zbiór archeologiczny.

K. B. w G. Książka jeszcze nie wyszła, prenumeraty jej nie określiliśmy; 50 kop. przeto zapisujemy na rachunek pański.

Z. H. w K. Językiem wykładowym w poznańskich szkołach średnich jest niemiecki.

J. Z. w U. Nie.

K. B. w Symfer. Prawie bez wartości.

Sprostowanie w 2 N-rze *Prawdy*: str. 8 szp. 2 wiersz 42 od dołu czytać *wszystkim* zamiast *wszystkich*; str. 9, szp. 1 w. 25 i 26 od góry czytać *Jozafata podprowadzamy pod Józefa i robimy zeń Józefata.*

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Января 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.